Nr. 8 (1052). Warszawa, dnia 10 (23) Lutego 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują. Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Gwiazda Boerów

Powodzenie Boerów od nowego roku wywołało w życzliwym dla nich odłamie polityki europejskiej przeczucia, przewidywania i przepowiednie nawet jakiegoś lepszego losu — od tego, jakim grozi obu rzeczompospolitym Kitchener ze swoją blizko 200-tysięczną armią, po 16 już miesiącach walki. Jest w tem niewątpliwie niedomaganie krytycznego rozumu, ale jest i pęd szlachetny serca współczującego z nieszczęściem. Najwięcej też owych przepowiedni, mających jedynie wartość subjektywnych nastrojów, wychodzi z tych terytoryalno-społecznych kręgów życia, które więcej rządzą się uczuciem idealnem, beznamiętnem, teoretycznem niejako, niż interesem hodowanym w niezliczonych grzędach egoistycznego praktycznego rozumu. Im dalej od materyalnej rzeczywistości siły i woli z niej skorzystać zdolnej, tem silniejszą też jest ta moralna rzeczywistość, która w duchu tylko istnieje i duchowemi tylko rządzi się pobudkami. Nieszczęście znajduje odzew w nieszczęściu, groza przemawia do tych, których przez wężowe rózgi swe już przepędziła. Psychologia życia osobniczego, na wyższym tylko stopniu zadań i w wyższem też napręźeniu uczuć powtarza się i w górnym zakresie dziejów. Historya, kwiląca dziś jeszcze w kolebce psychologizmu jako zasady poruszającej twórczość, kiedyś, gdy wejdzie już na jasne tory odgadywania dusz zbiorowych, a nietylko ustawiania wypadków w mechaniczne pałacyki t. z. kompozycyi historycznej— historya ten dzisiejszy moment dziejowy uczci jako obfity zdrój prawdy doświadczalnej i zarazem probierz moralnej wartości różnych całostek, indywidualności zbiorowych i postaci historycznych na przełomie dwu stuleci.

Wymówione na wstępie słowo: „powodzenie," potrzebuje wyjaśnień. Powodzeniem jest tu sam ruch, wola i energia, sprawność i czyn bez względu na dalszy skutek, na sam rodzaj skutku. Wtargnięcie do kraju Przylądkowego, po zupełnem już, jak się zdawało, rozbiciu na północy, było istotnie czynem, który mógł już otrzymać zaszczytną dla nieszczęścia i niemocy nazwę powodzenia. Noworoczne wyprawy Delareya, De Wetta za rz. Oranje; zjawienie się powrotne w Natalu, z zamiarem usadowienia się w górach Smoczych, pochód przez krainę Swazich (na wschód od Natalu), zapędzenie się wreszcie pod Pretoryę, Johannesburg i Bloemfontein — były istotnemi niespodziankami, zgotowanemi Anglii i światu przez dzielność, o której pamięć w historyi już nie zaginie. A z tymi czynami łączyło się niszczenie kolei, chwytanie całych kompanij i szwadronów, nawet batalionów w niewolę, zabieranie składów i zasobów, przecinanie łącznic strategicznych i utrzymywanie potężnego przeciwnika w ciągłym niepokoju, miejscami nawet w trwodze. Innej też doniosłości, innego skutku te wycieczki za rz. Oranje nie mają i mieć nie mogą. W innych, o wiele lepszych warunkach, przy mniejszem znużeniu wewnątrz a osłabieniu zewnątrz, próbowali Boerowie działań wojennych w lecie roku ubiegłego — na tej samej widowni kraju Przylądkowego: wrócić musieli za rzekę, nic nie sprawiwszy, coby im trwałą, istotnie już wojenną, na los wojny wpływającą korzyść przyniosło. W ścisłem też pojęciu powodzenia wówczas nie mieli, choć złożyli dowody odwagi i pomysłowości; nie mają go, mieć nie mogą i teraz. Powodzenie to nie od nich zresztą zależy. Celem ściśle wojennym wtargnięcia do Przylądka mogło być, jak wówczas tak obecnie, tylko wywołanie powstania, podanie Afrykanderom przylądkowym zbrojnego ramienia; powodzeniem zaś samem — pochwycenie pomocy i rzucenie się na Anglików. Ale Afrykanderzy śpią, coś tylko przez sen majaczą; dobrze im jest w puchu karabinów, w handlowych i przemysłowych porządkach angielskich, od wielkiej cywilizacyi tyją. W tej otyłości znajdują swe szczęście, swój ideał — wyższy od boerskiego o całą górę używania.

Wszystkie owe czyny, dowodzące niezmożonej jeszcze siły życia dziejowego w samych Boerach, a przez umysłowe odbicie zarazem i szlachetnego idealizmu w ich europejskich przyjaciołach — mają swoje ważne znaczenie psychologiczne, ale politycznego nabrać by mogły tylko przez nowe ustosunkowanie się dyplomacyi europejskiej po za Anglią do zagadnienia podejmowanego przez waleczny lud, zagadnienia, które dla niego wyraża się w większem i tragiczniejszem od hamletowskiego—w prawdziwie już majestatycznem *być albo nie być*. Europa, ta, która działa, nie ta, która może tylko mówić, miała czas zająć się sprawą Transwalu z dobrym dla Transwalu skutkiem w zimie r. z.; miała czas nawet po pierwszem nieszczęściu boerskiem, którego rocznica jest już tak blizką (Cronje w Pardebergu d. 27 lutego): ale ta Europa właśnie nawet nie drgnęła. Zachęcało ją wszystko: stara, organiczna nieprzyjaźń Francyi ku Anglii; powikłanie się interesów europejskich w zawierusze chińskiej, naturalna reakcya przeciwko chciwości angielskiej na zatokę Perską; sposobność do skrępowania, jeśli nie zupełnego nawet wyparowania Anglii z Egiptu: na wszystko to Europa była głuchą, bo choć słyszała, niczego zrozumieć nie chciała. Za wiele miała do rozumienia w Chinach, aby jej mogło starczyć egoistycznego jej rozumu jeszcze dla Transwalu. Była tu do wzięcia nawet brzęcząca gotówka interesu; nie byłoby niegodnego

dyplomacyi sięgania po mgłę i chwytania w garść powietrza ideału: byłaby poważna dyplomatyczna robota z pewnym zarobkiem; nikt przecież odważyć się na nią nie zdołał. I tak na placu został tylko sam cesarz Wilhelm ze swojem z r. 1896 powinszowaniem noworocznem dla Transwalu i swojemi z r. 1901 odwiedzinami noworocznemi u Robertsa. Taki sprzymierzeniec jest chyba tylko na ironię. Na jęk Krügera: „Więc z nikąd nie otrzymamy pomocy!" — odpowiada mrok: „z nikąd." Nowy król Edward VII w mowie tronowej z 14 b. m. mówi o obu rzeczachpospolitych jak o prowincyach angielskich: i to jest ich los, którego już nic nie odwróci, chyba wielki kataklizm.

WALKA O KONGREGACYE.

III.

Pan de Mun powielekroć w przemówieniu swojem zwracał się do prezydenta ministrów, p. Waldeck-Rousseau, piętnując go, jako autora nowego prawa, jako „zły duch" rządu francuskiego, jako spadkobiercę generalnego jakobinizmu przewrotowego, zwalając na niego całkowitą odpowiedzialność za czyn występny, mający zaważyć na losach przyszłego społeczeństwa i narodu francuskiego. Prezydent ministrów nie mógł tedy zwlekać i natychmiast zażądał głosu. Najlepszym ciosu odparciem jest — cios. Stary, w ogniu tylu turniejów zahartowany fechtmistrz parlamentarny, wiedział, znając łatwą pobudliwość posłów francuskich, że wodzianką frazeologii codziennej, sianem komunałów politycznych nie wykręci się dyalektycznemu i krasomówczemu talentowi przeciwnika. Wiedział, że jego strategia musi być inną, że nie wolno mu nietylko zostawić ani jednego zarzutu bez odpowiedzi, ale co więcej, że nie wolno mu bynajmniej naśladować partnera i zerodkować się na prawem albo na lewem skrzydle. Na całej linii bojowej ogień morderczy musi wzniecić, nietylko przeciwnika zmiażdżyć, w perzynę obrócić jego dowody, wyśmiać jego elokwencyę, pod pręgierz wystawić jego wrzekomy patryotyzm, ale taki tryumf odnieść nad wrogiem, iżby w świadomości słuchaczy i widzów zainteresowanych albo obojętnych nie pozostała żadna wątpliwość, nie ostał się żadnej wątpliwości cień najbardziej nikły. I oto odezwał się:

„Pan de Mun wspomniał we wspaniałej mowie, której wszyscy słuchaliśmy ze słuszną uwagą, o martwej ręce towarzystw bezimiennych. Nie chciałbym go dotknąć, muszę jednak powiedzieć, że aczkolwiek jest wielkim mówcą, to jednak jest niedobrym prawnikiem, albowiem i w towarzystwie anonimowem majątek nie przestaje ani na chwilę należeć do każdego członka z osobna. Nie wolno tedy mówić o majątku martwej ręki. Jeśli zaś chodzi o towarzystwo przedstawiające osobę prawną, to dekret zatwierdzający ustawę reguluje wszelkie kwestye własnościowe. Jeżeli zaś mamy do czynienia z towarzystwem nieistniejącem z mocy prawa, to rządzi tu znów prawo powszechne. Przy rozwiązaniu każdy otrzymuje swój wniosek, przechodzący w razie potrzeby na spadkobierców. Towarzystwo nie istniało ze stanowiska prawnego, nie mogło więc nabywać na własność i nie mogło niczego posiadać, nie mogło przekazywać członkom żadnego prawa własności. Majątek tedy, nie stanowiący własności oddzielnie wziętych członków, przechodzi na własność państwa.

Należy nam obecnie powiedzieć, w jakim stosunku znajdują się korporacye do *porządku publicznego*.

W promieniu porządku publicznego znajduje się wolny obrót dóbr materyalnych. Prawo cywilne francuskie zakazuje zobowiązań na zawsze, a zarazem orzeka, że tylko rzeczy znajdujące się w obrocie mogą być przedmiotem umowy. Nikt jednak nie odważy się twierdzić, aby prawa indywidualne mogły znajdować się w obrocie. Można bowiem zobowiązać się do nienabywania tego lub owego przedmiotu, ale nie można dać zobowiązania, że się wogóle niczego nie nabędzie. Można mianowicie zobowiązać się, ze w danem mieście albo danej okolicy nie będziemy prowadzili takiego lub innego przedsiębiorstwa, ale nie można zrzec się wogóle prawa do prowadzenia jakiegokolwiek przedsiębiorstwa. Następnie posiadamy prawo zawierania związków małżeńskich, i tutaj zakaz może być nawet zrozumianym jeszcze bardziej bezwzględnie, nie wiem bowiem, zali mogę się zobowiązać pojąć daną osobę za małżonkę lub nie pojąć; co zaś dotyczy samego zobowiązania niewstępowania w związki małżeńskie, to ze stanowiska publicznego zobowiązanie takie jest — żadnem.

A właśnie kongregacye łączą w sobie wszystkie te unicestwiające umowę warunki. Każda bowiem opiera się na trojakich ślubach: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Pierwszy wyrzuca nas za nawias interesów powszechnych, które obejmują własność umożliwiającą pracę dla dobra kraju. Drugi — uwalnia nas od obowiązku zakładania rodziny, należenia do niej i pracowania dla niej. Wreszcie ślubowanie posłuszeństwa: wszak to negacya indywidualności. Jeżeli tedy odejmiemy od osobistości ludzkiej to, dzięki czemu ona posiada, myśli rozumnie, przeżywa sama siebie, tedy ośmielę się zapytać: cóż z niej pozostaje?

Mówią nam, że chcemy stworzyć coś zupełnie niebywałego, że występując przeciwko kongregacyom, stajemy w sprzeczności z historyą Francyi. Otóż, panowie, jak tylko monarchia wyszła z chaosu i anarchii, w której siła starczyła za prawo i konstytucyę, wnet wyodrębniła się z pod wpływu teokracyi. To nie za dni naszych powstały słowa, które wam zacytuję: „Zali znaczy to wyrzekać się świata doczesnego, jeżeli codziennie powiększamy nasze dobra przy pomocy wszelkich środków godziwych i zakazanych, to przyobiecując łaski raju naziemskiego, to grożąc karą piekieł?" Autorem tych słów, bardziej namiętnych, niż to wszystko, co ja powiedzieć się ośmielam, był *Karol Wielki!* I oto od niego, od Ludwika Św. aż do dni naszych władza świecka walczyła stale przeciwko kongregacyom. Tak np. Ludwik XV nakazuje sekularyzacyę własności kongregacyi nieuznanych, która sprzedana więcej dającemu powinna być obrócona na wspomaganie ubogich, budowanie szpitali albo wykonywanie robót publicznych. Jednocześnie zakazano otwierania nowych klasztorów, bez zezwolenia królewskiego nie może być przyjętym żaden zapis, żadna darowizna. Jeżeli tedy w milczeniu przyjąć musiałem tak ciężką obrazę z ust pana de Mun, który piętnował nas przed chwilą jako zwykłych rabusiów, to poniekąd tak skromny mąż stanu, jakim jestem, może śmiało poszczycić się, że zarzuty te spotykają w równej mierze tak liczny poczet znakomitych i zasłużonych polityków...

Przeciwnicy nasi twierdzą, że godzimy w interesy kościoła katolickiego. Kongregacye mają zaniknąć, a co za tem idzie, zagrożony jest byt kościoła, albowiem bez nich kościół obyć się nie może. Przedewszystkiem kwestya jest źle postawiona. Nie powiedziano nigdzie, że kongregacye zatwierdzone będą zniesione i że nie można będzie zakładać nowych. Dlatego też musicie posunąć się o krok dalej i powiedzieć szczerze: ponieważ kongregacye służą interesom religii, tedy nie powinny być one stanowczo zależne od prawa cywilnego, powinny być wolne od wszelkiej opieki państwa. Żali taka skarga ma jakąkolwiek podstawę; żali można ją brać poważnie? Więc kościołowi miałoby zależeć na tem, aby kongregacye rozwijały się swobodnie i bez interwencyi państwa. Ostrożnie, mości panowie! Tem samem musielibyście przyznać, że istotny interes kościoła był zapoznany w długim pochodzie osiemnastu stuleci, poczynając od Ludwika Św. aż do Ludwika XVI i Karola X. Słyszę głos, że Ludwik Św. nie był ani wielkim świętym, ani wielkim królem. Co najmniej dziwić się można, że taką opinię słyszymy z wa-

---

Hugo v. Hofmannsthal.

Ślepiec i śmierć.

(Dokończenie).

Śmierć. Co wszystkim innym — danem było tobie:
Po ziemsku przeżyć jedno ziemskie życie.
W wszystkich was jeden duch pracuje skrycie,
Aby w tym wielkim, martwych rzeczy grobie
Rozjaśnić ściany, tchnąć życia zdrój młody,
Barwne przed sobą roztoczyć ogrody,
Gdzie praca, radość, i blaski, i ciemnie!
Biada, jeżeli dopiero ode mnie
O tem się dowiesz! Nić się snuje, płaczę,
Ponure idą rozwiązań godziny,
We śnie—płacz gorzki i zmęczenie winy,
Pragnienie życia i tęsknoty brzemię,
Niechęć—a jeszcze spojrzenie na ziemię—
I każdy różną drogą, w różnej męce,
Ale *dojrzały*—spieszy w moje ręce!
Ci. A jam nie dojrzał! Zostaw mnie na ziemi!
Porzucę próżne smutki i tęsknice!
Ja się tej ziemi jak kleszczami chwycę.
Oto mi wstrząsa piersiami całemi
Wielki za życiem krzyk! Strach, trwoga zrywa
Mojej niemocy zaklęte ogniwa!
Tylko pozostaw! Idź! Idź w swoją drogę—
Ja wiem, ja czuję teraz, że żyć mogę!
Serce się moje otwiera bijące,
Jakieś ogromne, wielkie ukochanie
Wszystkie mi twory rozświetla żyjące!
I nic już martwem dla mnie nie zostanie!
Nie! cała ludzka dola i niedola
Nowym mnie światem czarownym otoczy,
Wszędzie słać będę i serce, i oczy—
Taka powstaje we mnie życia wola,
Tak przed niem czoła uchylę w pokorze,
Że złe i dobre rząd duszy mieć może,
Darzyć mnie smutkiem i szczęścia koroną—
Martwe zagadki życiem dla mnie splonął.
Ja w ludziach teraz już odnajdę ludzi,
Brać, dawać będę—aż się duch utrudzi,
W życia łańcuchu ogniwem się stanę!

(Widząc niewzruszoną twarz Śmierci, ze wzrastającą trwogą):

O, wierz mi! Wierz mi! Tak nigdy nie było!
Myślisz, że kiedy to serce spętane
Wielką miłością, nienawiścią biło?
Rdzenia ich nigdy, nigdy nie poznałem!
Ułuda tylko, dźwięki pusto, słowa,—
Masz, patrz, oglądaj: wszystko tu się chowa:

(wyciąga gwałtownie szufladę i wyjmuje pliki starych listów)

Ile tu przysiąg, skarg, z jakim zapałem...
Ha, czy ty myślisz, że odczułem kiedy
To, co pisały one? com z potrzeby
Jako odpowiedź rzucał?

(Rzuca pod nogi Śmierci paczki tak, że pojedyncze listy wypadają).

Patrz, tu cała
Miłośna przeszłość stoi zmartwychwstała.
Dla mnie, dla mnie tylko i mną wszystko żyło,
Ja w tych odpływach i przypływach fali
Zawszem uczucia zachował chłód stali...
Tak, tak: *to*, jak i inne wszystko, było
Tak pozbawione miłości, zapału,
I nienawiści, i nieszczęść i szału!
Śmierć: Ślepcze, zły ślepcze, zanim oddasz duszę,
Ja czcić to życie nauczyć cię muszę!
Stój, patrz i ucz się: tu każdy podróżny
Na świat idący z czarnej ziemi łona
Niesie dla świata miłośne ramiona,
A tyś był jeden jak dzwon głośny, próżny!

(Śmierć kilkakrotnie dotyka strun—jakby wołała. Drzwiami z prawej strony wchodzi matka. Niebardzo stara. Długa, czarna, aksamitna suknia, czarny, aksamitny czepiec z białą riuszą, która okala twarz.

szych szeregów. Ale jakkolwiekbądź, nie posuniecie swego sceptycyzmu tak daleko, ażeby twierdzić, że on był prześladowcą wiary.

Pan Mun wspomniał o konkordacie. Dokument ten nosi podpis kardynała papieskiego, a jego art. 9 orzeka, że bez zezwolenia rządu nie można ufundować nowego probostwa. A więc żaden proboszcz nie może objąć swego stanowiska, o ile rząd zgody swej w tym względzie nie wypowie. Francya posiada 87 biskupów, tyleż seminaryów duchownych i 42 tysiące księży, otrzymujących pensye od rządu. Czy duchowieństwo skarży się na przeciążenie pracą? Czy jest go za mało? Zapewne, że są gminy i parafie, np. w górach, w Alpach, gdzie służba proboszczów jegt bardzo surowa i uciążliwa. Przedziwnać to jednak, że śród nieskończonej armii kongregacyj niema ani jednej, któraby znękanemu i uznojonemu proboszczowi ofiarowała mnicha do pomocy i dla ulżenia w pracy? Oto przeciwnie, duchowieństwo świeckie pełne jest żalu i chciałoby jak najprędzej uwolnić się od kongregacyj. Te ostatnie rzeczywiście dawniej dźwigały największe ciężary — z biegiem czasu atoli, rosnąc w bogactwa i wpływy, stały się bardzo wymagającemi; przyciągają do siebie bogatą tylko i *dystyngowaną* klientelę. Konfesyonał kościołów parafialnych słucha tylko spowiedzi najbardziej *powszedniego* sumienia; kaplice gromadzą liczniejsze rzesze, niż kościoły parafialne. Duchowieństwo tedy świeckie nie potrzebuje obawiać się prawa. I dla innych również względów żadnych obaw wobec rządu demokratycznego żywić nie powinno. Jeżeli bowiem katolicyzm w pewnych epokach zwalczał myśl wolną, to nie należy bynajmniej sądzić, że rządy wolnomyślne potępią wolność wiary. Nic nie mamy wspólnego z takim fanatyzmem „na wspak.“ Z kościołem katolickim musimy się liczyć jako z faktem historycznym, który i dziś działa silnie. Jeżeli zaś zapytacie, dlaczego rząd dziś właśnie wniósł nowe prawo na wokandę parlamentarną, to powiem: ponieważ zło urosło do rozmiarów nazbyt wielkich i niektóre kongregacye zbyt namiętnie mieszać się zaczęły do walki pomiędzy przeszłością i teraźniejszością.

Śpiewano tu wobec nas ody na cześć dobroczynnej działalności zakonów. Zapytajmy jednak statystyki. Otóż okazuje się, że 54 tysiące kongreganistów autoryzowanych (zatwierdzonych przez rząd) opiekuje się 57,000 osób, a 75 tysięcy nieautoryzowanych — zaledwie 25 tysiącami. Współczucia i ofiarności zakonnic nikt w wątpliwość podawać nie będzie; nie należy atoli zapominać, że te piękne zalety znajdują pole dla siebie i w życiu społecznem, przedewszystkiem w rodzinie, gdzie często żona, córka albo siostra pielęgnuje starca, którego zdrowie pożarła praca zarobkowa, albo ręką miłosierną wspiera dziecko, które przyniosło na świat całe dziedzictwo nędzy. Bynajmniej nie chcę zaprzeczyć zasług i bohaterstwa misyonarzom i zakonnikom, którzy z narażeniem życia prowadzą propagandę zasad uznanych za prawdę, albo niosą pomoc biednym i opuszczonym, nędznym i trędowatym, aż do najdalszych zakątków świata. Ale po za nimi, których debaty nic nie dotyczą zgoła, istnieje cały szereg zakonów, których zasadą życia i racyą istnienia jest działalność skierowana przeciwko polityce rządu, którą krzyżują, minują, a przedewszystkiem starają się opanować. Widzimy je wszystkie przy warsztacie, wszystkie dążą do jednego celu. Wszystko należy odnowić, społeczeństwo rozbić na partye zwalczające się i pożerające wzajem; opanować umysły i sumienia, stworzyć nowe pokolenia, zająć urzędy i rozdawać je, obsadzać je — aż do najwyższych stanowisk — wiernymi sługami, łączyć interes z wiarą i wszędzie mieć ludzi, którzy odezwą się w chwili właściwej na umówione hasło. A cel? Monarchia absolutna, liberalna albo konstytucyjna?.. Próżne to wszystko słowa! Cel jest jeden—przeciwrewolucya! Nigdy kongregacye nie liczyły tylu członków, co dzisiaj. Można to uważać za zdobycz, można w tem widzieć niebezpieczeństwo — pozostaje zawsze fakt. Zakony uczą dlatego, że chcą panować nad umysłami; trudnią się handlem nie gwoli zysków, ale dlatego, że olbrzymie przedsięwzięcia olbrzymich wymagają środków; są wszędzie, gdzie zapadają poważne postanowienia; przystosowują nawet zewnętrzny aparat praktyk kościelnych do swoich celów: instytucyę cudów dla tłumu, lekkie ćwiczenia duchowne zamiast wiary; ambitnym ślubują wierność, o ile im służyć obiecują. Środki nieobliczone i stosunki bez liczby zapewniają im wpływ otwierający wszelkie drogi. A że Francya jest krajem powszechnego głosowania i że nic posiadamy nic, nie zapewniwszy sobie głosów, tedy powstaje nowa kongregacya, która chce opanować arenę wyborczą i w każdej gminie francuskiej utrzymuje agentury. Dokąd tedy dążą? Nie zapytamy o to kogo innego, jeno tego, który z taką wymową i taką szczerością poświęcił życie swoje obronie tych właśnie idej — pana de Mun. D. 22 maja 1875 r. mówił on: „Geniusz przewrotu przybrał obecnie ostatnią swą formę — szataniczną. Pod tą postacią opanował od 80 lat Francyę. Mamy już dość tej niewoli i żądamy swobody. Państwo usadowiło się na miejscu Boga, a porządek legalny zajął miejsce — boskiego, szkoła zwalcza religię i rozum zbuntował się przeciwko objawieniu. Zło zasadnicze nie tkwi w zbrodniach i przewrocie Rewolucyi, ale w r. 1789. w systemie politycznym, społecznym i ekonomicznym poczętym w głowach filozofów bez względu i wbrew tradycyi...“ Innemi słowy, władza kościoła, jako przewodnika społeczeństwa, nie powinna mieć ani przeszkód, ani kresu. To już nie nauka Leona XIII, jeno tak przemawia duch Grzegorza VII i Inocentego III. Jeżeli staną tutaj — macie panowie słuszność: precz z autoryzacyą kongregacyj! One obchodzą tylko kościół.

Ale my chcemy czego innego. Chcemy przy pomocy koniecznego środka zapewnić pokój wewnętrzny i prawidłowy rozwój społeczeństwa obwarować....

Tydzień polityczny. Rozruchy w Hiszpanii nie ustawały do d. 19 b. m. W samym Madrycie dwadzieścia klasztorów poobléwano naftą i wzniecono w nich pożogę, wypłaszając mnichów. Na całem Pomorzu śródziemnem wszystko wrze. Pojęcia i popędy postępowe łatwiej się tam szczepią: dlatego odpór dawany despotyzmowi religijno-obyczajowemu jest silniejszym w istocie, chociaż słabszym w objawach fizycznych. Początek dało przetrzymanie w jednym z klasztorów madryckich bogatej dziedziczki, której dopiero rząd wrota więzienia otworzył. Z ruchu skorzystali republikanie dla politycznego pogłębienia nienawiści społecznej, ale w Hiszpanii bez *pronunciamenta* generalskiego nic się nigdy nie zrobi, stronnictwa zaś prawdziwie postępowego a patryotycznego, zdolnego i społeczeństwo i państwo wprowadzić na drogę przemian odradzających, niema. Wróżba zatem smutna: wszystko zostanie jak było, nietylko w życiu wyznaniowem i jego instytucyach sięgających po za sumienie jednostki, ale i w całem gospodarstwie polityczno - społecznem, w którem zupełnego przewrotu po wojnie z r. 1898 spodziewali się przyjaciele ludzkości. — Rząd Azcarragi trzymał się hardo podczas pierwszych zapędów, musiał jednak uledz przed niemi i dać światu widok stanu oblężenia, ogłaszanego umyślnie dla umożliwienia zaślubin córy królewskiej w stolicy królestwa, d. 14 b. m. Regentka chce już podobno zmienić ministrów, Azcarragę zastąpić Silvelą: plasterek angielski, a tu potrzeba ognistej wezykatoryi. Gdyby nie położenie geograficzne, dokąd by już nie zaszło to państwo hiszpańskie, gdzieby już nie leżało!

D. 14 b. m. król Edward VII zagaił pierwszy swój parlament — osobiście. Z tronu przemówił: Żałoba jest narodową, królowa wzorem monarchy, pójdzie w jej ślady. Pociechą w żałości są dobre stosunki ze wszystkimi. W mocy króla znajdują się już obie stolice boerskie i główne drogi; przedsięwzięto środki do zupełnego złamania. Poddanie się Boerów leży we własnym ich interesie: dopiero wtedy będzie mógł król wprowadzić sprawiedliwość i równe prawa dla wszystkich. Co król powiedział o Chinach, to wszyscy już wiedzieli. W Australii powstała federacya — mówił dalej — następca tronu pojedzie tam i do Kanady. Obie krainy przyczynia-

---

W delikatnych, bladych palcach — koronkowa chusteczka. Wchodzi cicho i bez szmeru posuwa się po pokoju).

Matka. Ile słodkiego cierpienia spływało
Tutaj z powietrzem w moją pierś! Tu wszędy
Pośmiertne tchnienie po mnie jak lawendy
Woń lekka. Życie się matki składało
Z tej trójcy: smutek, troska i cierpienie.
Mężczyzna—pojąć nawet nie jest w stanie!

(Przed szafą).

Ten kant zawsze jeszcze ostry taki!
Tu czoło rozbił, aż krwawe miał znaki...
Prawda, był mały, gwałtowny i dziki!
Na miejscu nie mógł usiedzieć spokojnie...
A tu, to okno! W jakiej uczuć wojnie
Stawałam tutaj w ciemne, długie noce?
Czy nie on jeszcze? Taka długa droga...
Nie wraca... Zimnym oblewam się potem,
Godziny płyną — szarzeć już zaczyna —
Tak często... Ale on nie wiedział o tem!
I w dzień mi nieraz straszną pustką wiało:
Dla ręki nigdy nie ustaje praca,
Tu—kwiaty podlać, tu się nazbierało
Pyłu na sprzętach — ale głowa, głowa!
Tam jedna gaśnie, wnet rodzi się nowa
Myśl — tam ponure koło się obraca
Przeczuć—i trwogi jakieś tajemnicze
I dziwnych bólów znękane oblicze—
Tak, z tajemnicą macierzyństwa świętą,
Z tajemną, w łonie wszechświata poczętą
Pracą to wszystko się łączy... Nie dano
Mi znów, jak ludziom, co żyją szczęśliwi,
Chwytać to tchnienie, co boli i żywi.
Odejść mi trzeba...

(Wychodzi środkowemi drzwiami).

Cl. Matko!
Śmierć, Milcz!
Cl. O, matko
Moja, o pozwól, niech tak z drgającemi
Ustami, które zaciskała duma,
Tu niech przed tobą padnę na kolana!..
Wołaj! Zatrzymaj! Wróć mi, wróć kochana!
Nie chciała!.. Czemu, ty okrutna, czemu,
Musi skinieniu posłuszna być twemu?
Śmierć. Zostaw, co moje. Twojem także było.
Cl. I nigdy, nigdy serce nie zabiło!
Powiędłe, suche liście!.. Ani chwili,
W którejbym uczuł, że wszystko, co we mnie
Czuje i żyje,—do niej się tajemnie
Wyrywa, dąży, o jej blizkość woła,
Że w niej jest owa dziwna moc anioła,
Która mi w serce miłość ludzi wleje,
I radość życia, i żal, i nadzieję?!..

(Śmierć, nie zwracając uwagi na jego skargi, gra starą piosenkę ludową. Wchodzi powoli młoda dziewczyna; prosta suknia w wielkie kwiaty; na szyi kawałek gazy—z obnażoną głową).

Dziewczyna. A jednak, jednak jakie piękne było
To wszystko... Czy już nigdy w twej pamięci
Nie wstaje—nigdy wspomnieniem nie nęci?
Przez ciebie tyle goryczy wypiło
Me serce... W bólu wszystko się rozpływa.
Do mnie tak rzadko śmiał się dzień radosny,
Ale *te* były, jak uroczej wiosny
Sen przecudowny—każda chwila żywa!..
Przed oknem kwiaty, kwiaty, moje kwiaty —
Szafa i w kącie ten szpinecik stary, —
Do szafy listy twe kładłam i dary,
Dary od ciebie — cały skarb bogaty —
O, nie szydź ze mnie, bo to wszystko było
Piękne i głosem kochanym mówiło!
Gdy dzień się skończył upalny, gorący
I deszcz kroplisty upadł—na nas dwoje
Od okna zapach szedł upajający —
To tak mówiły drzewa, kwiaty moje!
Przeszło... Te wszystkie żywe, jasne chwile
W miłości naszej śpią cichej mogile.
Wszystko tak piękne było—z twojej winy
Tak piękne!.. Potem, ot tak, bez przyczyny
Rzuciłeś mnie, niby dziecko, co znudzone
Zabawą kwiaty porzuca wśród drogi...
Zatrzymać ciebie? czem? był za ubogi
Duch mój...

(Chwila milczenia).

ją się patryotycznie do wojny w Afryce. Powstanie Aszantów stłumione. W Indyach susza i nędza, zwłaszcza w Bombaju. Potrzeba podnieść budżety floty i armii, a armię znacznie zwiększyć. Król oddaje do rozporządzenia parlamentu listę cywilną zmarłej królowej. Nową dla siebie od niego otrzyma.

W lecie r. z. arcyks. Ferdynand Fr., synowiec cesarza, domniemany następca tronu, zaślubił hr. Chotek. Z powodu mezaliansu zrzekł się za swe spodziewane z niej potomstwo praw do tronu. Zrzeczenie się to d. 12 b. m. odczytano w Izbie dla zachowania w aktach. Gross zażądał rozpraw i komisyi z 37 członków. Zanim żądanie to przyjęto, Kramarz oświadczył, że Czesi nie uznają prawa sejmu wiedeńskiego, mają bowiem do takich przedmiotów swój własny, w Pradze. Posłowie czescy bezzwłocznie wyszli z Izby, ale wrócili do niej po przyjęciu wniosku Grossa.

We Włoszech stanął gabinet liberalny Zanardellego. Prinetti, nowy minister spraw zagranicznych, dochowanie przymierza z Niemcami uważa za obowiązek patryotyczny.

Waldersee urządza na wiosnę wyprawę na stolicę prowincyi Szan si, Tai-juen-fu. Z powodu ociągania się Chińczyków ze ścięciem dygnitarzy niemiłych Europie radzi feldmarszałek wszystkim wziąć broń na ramię: wypadnie bowiem cnocie europejskiej użyć jej na przewrotność chińską. Wybraniec ces. Wilhelma feldmarszałkuje jednym tylko Anglikom, nikt go zresztą nie słucha. Na Francuzów nawet ujadanie za krnąbrność. Dwór chiński istotnie trudniejszym jest w spełnieniu, niż w daniu obietnicy. Z liczby dwunastu, na których już w zasadzie przystawał, gotów jest zgładzić już tylko czterech czy pięciu; jeden z nich ma się sam życia pozbawić w asystencyi urzędników cesarskich. Biedny naród! Tak łatwo teraz być dla niego zbawcą, gdy się już stoi w Chinach. Dość tylko nie dopominać się od niego samobójstwa. Francya i Stany Zjedn. były do tego powołane; ale sobie to powołanie lekceważyły.

Milana pochowano w Kruszedole pod Karłowicami, w Syrmii.

W ostatnich dniach rozrzucono w Paryżu w setkach tysięcy egzemplarzy kartki drukowane u OO. Asumpcyonistów następującej treści:

20 miliardów
do podziału
między socyalistów, kolektywistów,
dziennikarzy, anarchistów
i innych gadułów
zapewniony wypoczynek na starość.
Przyjmuje się codziennie
od 9 rano do 6 wieczór.
21, przy ul. Lafitte w Paryżu.

Pod tym adresem znajduje się bank Rotszyldów. W ten sposób klerykali parują cios zadany przez rząd, który zdradził tajemnicę posiadanego przez kongregacye miliarda franków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PROWINCYI I O PROWINCYI.

Brak wiadomości o życiu prowincyonalnem.— Płytkość prasy prowincyonalnej i wzorowanie się jej na organach brukowych. — Kwestyonaryusz *Ech płockich i łomżyńskich*. — Niechęć ku prowincyi wśród inteligencyi miasteczkowej. — Ogólna charakterystyka inteligencyi miejskiej na prowincyi.

W przykrem położeniu znajduje się publicysta, podejmujący się przeglądu naszego życia prowincyonalnego. Dobrze uświadamia sobie, że prowincya posiada liczne potrzeby i wyłania niekiedy oryginalne próby czynienia im zadosyć, że bądź co bądź, życie w niej nie drzemie, lecz zwolna, w samorzutnym swym biegu, stwarza nowe stosunki i wzory. A jednak napotyka niezmierne trudności w odtworzeniu tych potrzeb i bólów, prądów i widnokręgów codziennych, w których odmęcie toczy się życie prowincyi. Przed rokiem wypadło mi mieszkać parę dni w Częstochowie: byłem zasypany opowieściami o zamierzonych kolejkach wązkotorowych, o poszukiwaniu rudy, zwyżce cen ziemi i rozwijającej się spekulacyi gruntami włościańskimi. Otoczył mnie nowy świat, którego istnienia nie przeczuwałem, siedząc w Warszawie, a przecież od lat kilku bardzo systematycznie odczytuję prasę prowincyonalną... Przed paru miesiącami zdarzyło mi się zawiązać rozmowę w wagonie z geometrą prowincyonalnym. Całą godzinę opowiadał mi o parcelacyach, stosunkach gospodarskich guberni Łomżyńskiej. Od lat wielu nie pamiętam, ażeby ktokolwiek roztoczył przede mną taki ciekawy obraz stosunków wiejskich, a powątpiewać o wiarogodności faktów nie mam najmniejszego powodu. Geometra był pospolitej miary umysłem, nieumiejącym nawet zrozumieć doniosłości opowiadanych szczegółów. Ale nadaremnie poszukiwalibyśmy tych faktów gdziekolwiek w prasie, chyba że zrobimy wyjątek dla „Listów ze wsi,“ drukowanych przed 3—4 laty w *Gazecie polskiej*. Posiadamy wprawdzie około dziesięciu pism prowincyonalnych, ale, z wyjątkiem jednego, inne nie mają pono nawet należytego pojęcia o zadaniach, jakie na nich ciążą; prasa warszawska również zamieszcza korespondencye z prowincyi, z których jednak trudno powziąć dokładnego wyobrażenia o głębszych objawach życia, a jedynie *Głos* za pierwotnej redakcyi odznaczał się gromadzeniem wiadomości, posiadających donioślejszą wartość.

Prasa prowincyonalna rzadko stoi na poziomie zadań swoich. W zasadzie rzec moglibyśmy, iż nie dostrzega nieraz faktów najdonioślejszych, nie słyszy najpoważniejszych odgłosów życia. Nawet gdybyśmy nie mieli innych argumentów, to już samo istnienie takiego organu, jak *Echa płockie i łomżyńskie*, dostarczyłoby głośnego oskarżenia przeciw współtowarzyszom. Okolice Płocka i Łomży nie odróżniają się niczem osobliwem w porównaniu z pozostałemi dzielnicami naszego kraju, co najwyżej brakiem latifundyów. Kaliskie niewątpliwie jest zamożniejszem, Piotrkowskie — bardziej przemysłowem. Rozległość zdarzeń codziennych, rozbieżność interesów, obfitość żywiołów społecznych są tam niezaprzeczenie znaczniejsze, a jednak tylko co wymieniony organ przoduje głębokością spostrzeżeń swoich, dokładnością kreślonego obrazu, nieobecnością plotki brukowej. Zdaje się, jeszcze drugi organ, istniejący dopiero od Nowego roku, a mianowicie *Kuryer sosnowiecki*, zapowiada dość obfitą treść, ale z paru numerów początkowych trudno wyrokować o jego dalszym charakterze. Na teraz, dla charakterystyki jego, poprzestaniemy na zacytowaniu jednego ustępu. „Niech się młodzież nasza nie oddaje zbytkom i nęcącej swawoli, ale niech pracuje i uczy się, ażeby dojść do dobrych posad, następnie bowiem będzie miała czasu dosyć do zażywania z miarą i godnością uciech życia. Tylko zdrowy i silny organizm jest zdolnym do podjęcia trudów, wynikających z kierownictwa wielkiego przedsiębiorstwa...“ Wdzięczni za obfitość informacyj, z całego serca życzylibyśmy nowemu organowi, ażeby polot jego był nieco— wyższy... Zresztą, bynajmniej nie czynimy prasie zarzutu z tytułu jej przekonań, a tylko z racyi jej nieumiejętności wglądania w sprawy życia prowincyonalnego. Mogą więc istnieć dobre pisma na prowincyi, bo przykład jednego z nich jest dostatecznym na to dowodem. Wszystko zależy od ręki, prowadzącej redakcyę, a może nieco także od głosu krytyki. Od lat wielu nie spotkałem w prasie naszej

---

A kiedy przyszedł ten zły, ten ostatni
List, chciałam umrzeć. A nie mówię wcale
Tego, by ciebie dręczyć. Wszystkie żale
Dla mnie. Do ciebie miało iść pisanie
Tak, by zeń żadne nie wiały rozpacze—
Bez skarg i smutku—ciche pożegnanie,
Aż cię raz jeszcze tęsknota ogarnie
Za mą miłością—i serce zapłacze
Za późno! Ale nie pisałam. Poco?
Czyż mogłam wiedzieć, z jaką serca mocą
To wszystko dałeś, co w istnienie moje
Wplotło promiennych snów i marzeń roje!
Nic, nic w uczucie chłodu nie zamieni,
Ani łzy zmarłe powrócą do życia...
I nie umiera się z tego... Wzgardzeni
Wiele goryczy mają do wypicia,
Zanim nareszcie z krwawego przędziwa
Ostatnia nitka z jękiem się urywa!..
Tak—ja. To przecież wybłagałam w niebie,
By w twego zgonu chwili ujrzeć ciebie...
Nic jak wyrzutu i udręczeń mara:
Gdy kto już wino wysączy z puhara,
To nieuchwytna, lekka woń zostanie,
Co mu przypomni dawne pożądanie...

(Odchodzi. Claudio ukrywa twarz w dłoniach. Po niej zjawia się mężczyzna jednego z Claudiem wieku. Niedbałe, zakurzone ubranie podróżne. Wlewej piersi sterczy nóż z drewnianą rękojeścią. Zatrzymuje się na środku sceny, zwrócony do Claudia).

Mężczyzna. Więc jeszcze żyjesz, ty coś tyl-
[ko umiał
Bawić się wszystkiem? Czytasz Horacego
I tak się cieszysz z mądrze-szyderczego
Rozumu? Zręczne były twoje słowa,
Kiedyś się zbliżał, tak niby przejęty
Tem, czem pałała wówczas moja głowa.
Ja to podobno, jak ów wiatr, co nocą
Zaledwie echa z sennych gór przynosi,
Miałem w twej duszy z dziwną zbudzić mo-
To, co drzemało jeszcze nieświadomie. [cą
O, tak! Ty byłeś tą czułą, grającą
Harfą na wietrze, a wiatr zakochany
Był tylko tchnieniem zużytem innego.
Przyjaźń nas przecież łączyła gorąco,
Długo. Tak, przyjaźń! To znaczy: że były
Pomiędzy nami dniem, nocą rozmowy,
Do jednych ludzi życzliwość i głowy
Przed jedną nawet kobietą schylone,
I wszystko wspólne... Tak, jak wspólnym
[bywa
Pomiędzy panem i rabem bogaty
Dom, mienie, konie, psy, uczty i baty.
Jednemu szczęściem jest dom, a więzie-
Drugiemu; jeden rumaka dosiada, [niem
A drugi dźwiga zbolałem ramieniem
Siodła i uprząż; jeden dla zabawy
Psom każe służyć, skakać przez obręcze,
Drugi dogląda pańskie psy!..
Gdy krwawy,
Zbolały duch mój rodził uczuć perły,
Tyś dla igraszki chwytał je z uśmiechem
I w górę rzucał; kiedy ja się dręczę,
W tajnikach duszy snuję pragnień przędzę
I zęby ściskam—ty z dziwnym pośpiechem
Umiałeś wszystko poznać i porzucić,
Wszystkiego dotknąć bez wahań, bez trwo-
[gi—
Mnie drżące słowo konało wśród drogi!..
Wtedy kobieta stanęła przed nami:
Mnie to objęło choroby ogniami —
Traciłem zmysły, ciągle wytężone
W jedną i zawsze tylko w jedną stronę,
W ten cel, słodyczy pełen i tęsknoty,
Który z ciemności szedł ku mnie, jak złoty
Potężnej zorzy blask... To wszystko było,
Stało przed tobą—aż cię podrażniło...
„Przychodzą chwile, że się w mojej duszy
Uczuć pokrewnych tak wiele poruszy...
Więc mnie drażniło u młodej dziewczyny
Rozczarowanie i duma, goryczy
Pełna.“ — Gdy długie minęły godziny—
Te były przecież twoich wyznań słowa.
Ciebie drażniło! Mnie pałała głowa!
To, co mi było więcej, niż krwią żywą
Mojego serca,—mając już zabawy
Dosyć, rzuciłeś mi, jak pan łaskawy—
A to był obraz straszny! Tak skażony
Tobą, tak dziwnie zmięty i zmieniony....
Już dawniejszego czaru ani śladu,

przeglądu organów prowincyonalnych. Przy narodzinach czeka je parę wyrazów zdawkowej zachęty na szpaltach prasy warszawskiej, ale w gruncie rzeczy nawet dziennikarze warszawscy rzadko odczytują je sumiennie, a tem mniej zapuszczają się w ocenę ich działalności, niekiedy nawet zapominają o ich istnieniu. Nawet na uroczystości Sienkiewicza zabrakło miejsca dla redaktorów prowincyonalnych... I ambicya prasy prowincyonalnej w większości wypadków nie jest zbyt wygórowaną. Kiedy przeglądam [illegible] *radomską*, *Lubelską* lub *Kaliską*, odnoszę wrażenie, iż spożywam zwykłą dawkę towaru kuryerkowego. Wzorują się one bowiem na brukowych organach Warszawy. Często niedbały artykuł wstępny, obfite plotki miejscowe, parę wiadomości z dalekiego świata, a więc o klubie kobiet w Wiedniu, dużo polityki zagranicznej i wreszcie ogłoszenia — oto treść, zwykle płytka i jałowa. Są pisma, w których w ciągu całych miesięcy nie udało mi się wyłowić poważniejszej wiadomości, ani dowiedzieć się o czemkolwiek po za utyskiwaniami na błoto, narzekaniami na służące, litanią nieszczęść, jakie przytrafiły się dziatwie wiejskiej, pozostawionej samopas. Wzory kuryerkowe panują nad umysłowością kierowników, kształtują stronę techniczną pisma, nakazują uwzględnianie plotek i drobnych wiadomości. Prasa brukowa wielkiego miasta szczerze i jasno postawiła swe zadania, chociaż uznaje za stosowne osłaniać je frazeologią przed ogółem czytelników: „Zastąpiliśmy w społecznym podziale pracy dawnych rezydentów, plotkujące kumoszki i rubasznych trefnisiów, a więc nie przywdziewajmy szaty apostołów...“ Prasa prowincyonalna, zahypnotyzowana powodzeniem towarzyszów warszawskich, bierze za wzór to posłannictwo niewybredne.

Zresztą ciążenie ku Warszawie podziela z prasą prowincyonalną cała inteligencya, przebywająca po miastach i miasteczkach prowincyonalnych, z wyjątkiem może przodującego odłamu, umiejącego pogłębiać życie dokoła siebie i zapładniać otoczenie podnioślejszą inicyatywą. *Echa płockie i łomżyńskie* rozesłały kwestyonaryusz w sprawie stosunku wielkiego miasta do prowincyi. Otrzymały pewną ilość odpowiedzi, a pochodzenie ich świadczy, że mamy tam do czynienia z odgłosami szerokiego, praktycznego życia, z tymi odgłosami, na których nieobecność tak utyskujemy. Pismu temu chodziło „o zbadanie poglądów i przekonań tej szarej masy czytelników, którzy sprawy rozstrzygają praktycznie, bez powziętych z góry postulatów teoretycznych.“ Słusznie ono zaznacza, że „rutyna dziennikarska nie jest dostatecznem kryteryum rozwiązywania spraw życiowo-praktycznych. Dziennikarz, zamknięty w ciasnych murach wielkiego miasta, niemający sposobności podglądania życia praktycznego, ma bardzo często nader błędne pojęcie o warunkach i stosunkach tego życia.“

Przyjrzyjmy się z bliska tym ciekawym objawom umysłowości prowincyonalnej, jakie zawarły w sobie nadesłane odpowiedzi.

Na pytanie, „czy pan z przyjemnością mieszka na prowincyi lub niechętnie, z musu,“ około 30% odpowiedziało w sposób stanowczy, iż niechętnie przebywają zdala od wielkiego miasta. Ktoś uważa swój pobyt na prowincyi za zesłanie na Syberyę, ktoś inny pisze o niej: „obrzydliwa nora — czyste więzienie!“

Co do pytania, „czy pan tęskni do życia w wielkiem mieście,“ 34% odpowiedzi brzmiało w sposób twierdzący bezwzględnie, pewna liczba — warunkowo. Tę tęsknotę niektórzy wypowiedzieli w formie bardzo jaskrawej: nazwali ją „nostalgią,“ „pragnieniem najgorętszem,“ „jedynem pragnieniem życia,“ „tęsknotą kani do deszczu.“ Inni odczuwają potrzebę „skąpania się od czasu do czasu w wirze wielkomiejskim,“ „starają się odświeżać wrażenia częstemi podróżami do stolicy,“ „tęsknią chwilami, jak tęskni się do otwarcia biblioteki lub fortepianu.“ Niektórzy zaznaczają tęsknotę z dodatkiem: „o, jeszcze jak,“ albo z zastrzeżeniem: „gdybym miał więcej pieniędzy!..“

Redakcya nie podała statystyki odpowiedzi na pytanie, jakie kto widzi dodatnie strony życia na prowincyi lub czem ono go odstrasza. Poprzestaniemy na przytoczeniu charakterystyczniejszych odpowiedzi. A więc niektórzy obawiają się na prowincyi „ciszy i związanej z nią monotonii życia,“ „nudy i anemii umysłowej.“ Inni oświadczają: „prowincya niczem mnie nie pociąga a odstrasza wszystkiem.“ Wielu lęka się „prowincyonalizmu życia,“ małostkowości, plotek, koteryi, filisterstwa, zawiści wzajemnej wskutek częstszego, bliższego stykania się z ludźmi.“

Co do pytania, „czy pan odczuwa brak podniet do życia umysłowego i artystycznego na prowincyi,“ aż 80% odpowiedzi wypowiedziały się w sposób twierdzący. Odczuwanie tego braku akcentowały nieraz one bardzo silnie: „Czy można pytać?“ „Żyjemy, jak ślimaki w skorupie!“

Bardzo charakterystycznych odpowiedzi udzielono na pytanie, czem pociąga lub odstrasza wielkie miasto. A więc jednych pociąga ono stroną swoją duchową: „pobudliwością myśli i jej wymianą,“ „ruchem pracy na szerokiem polu,“ „ułatwioną możliwością poszukiwania sobie odpowiedniego towarzystwa,“ „większą swobodą osobistą, jaką odczuwa każda jednostka w zbiorowisku tłumu, w którym zginąć może bez kontroli,“ „żywszem w ogóle tętnem życia umysłowego i artystycznego.“ Inni poprzestali na teatrze, koncertach, gwarze ulicznym, „różnych przyjemnościach,“ rozmaitości życia. Kilkanaście odpowiedzi zaznaczyło, iż wielkie miasto odstrasza tylko — drożyzną. Są luźne aforyzmy, z których pozwolimy sobie przytoczyć parę. „W miasteczku garnek, do którego wszyscy zaglądają, jest miarą mojej wartości.“ „Miasto żyje, wieś śni a miasteczko gnije.“

Nie przytaczamy odpowiedzi, które pochodzą od osób, przekładających życie prowincyonalne nad wielkie miasto. Zaznaczymy tylko, że głównie wyszły one od rolników, którzy zresztą nadesłali około 40% ogółu odpowiedzi. Ale i wśród nich można spostrzedz pewne ciążenie ku miastu, zresztą spowodowane nie tyle umiłowaniem jego, ile drobnemi dolegliwościami wiejskiemi, a więc serwitutami, drożyzną robotnika. Jest to rzecz zrozumiała: rolnik zrósł się z ziemią, jego zdrowy organizm posiada nawyknienia, które miasto zdoła zaspokoić w słabej mierze, życie jego bynajmniej nie odczuwa pustki, natomiast wśród inteligencyi miejskiej czuć, jeśli nie zawodzi nas otrzymane wrażenie, największą tęsknotę ku wielkiemu miastu. Żyje ona na prowincyi, ale jej myśli są zwrócone ku Warszawie i jej rozrywkom. Ta niechęć względem bezpośredniego otoczenia, w którem ktoś przebywa, przedstawia objaw wiele mówiący. Mniemamy bowiem, iż człowiek, który posiada w sobie dostateczną siłę krzesania ciepła i uspołeczniania życia dokoła siebie, nigdy nie wyrażałby się z taką stanowczością, jak w przytoczonych głosach, a przynajmniej nie posługiwałby się tak silnemi zdaniami. A dodajmy, iż znaczna większość inteligencyi, rozproszonej po miastach i miasteczkach prowincyonalnych, zajęła w odpowiedziach właśnie takie stanowisko. Zestawiony materyał umocnił dawne me wrażenia, orzekające, iż inteligencya prowincyonalna jest czemś w rodzaju oka oli-

---

Rysy bez myśli, dziwne trupie włosy...
W nic, w nic zmieniłeś siłą swego jadu
To, w czem się żywe widziało niebiosy...
Wtedy zacząłem nienawidzieć ciebie
Tak, jak tajemne mej duszy przeczucia
Nienawidziły cię zawsze. Odszedłem —
Aż na me biedne, na schylone skronie
Błogosławiące los położył dłonie —
I znów do celu szedłem z dumną siłą!
Zatrute tchnienie twe nie pozbawiło
Serca pożądań — wiary w wielkie, święte
I za tę wiarę w bój poszedłem śmiało,
I za tę wiarę w piersi mej zostało
Narzędzie mordu — za nią moje ciało
W przydrożnym rowie gniło i leżało
Długo. — Ty takiej nie rozumiesz wiary,
I jam potrzykroć szczęśliwszy w mym grobie!
Niczem nikomu nie byłeś — i tobie
Nigdy nikt nie był czemś!

(Odchodzi).

Cl. Prawda, nikt dla mnie, ani ja dla kogo!..

(Prostując się powoli).

Niby ten marny aktor, co na scenie
Słów swoich czeka, wchodzi, powie swoje —
Na wszystko inne martwy, obojętny,
Dźwiękiem własnego głosu niewzruszony,
Słuchaczy niczem poruszyć niezdolny:
I ja po wielkiej, wielkiej życia scenie
Szedłem bez żadnej wartości i siły...
Czemu się stało tak? Tu, u mogiły,
Czemu Ty, Śmierci, uczysz mnie dopiero
Patrzeć na życie nie przez mgieł zasłony?
Wstaję i idę, jak ze snu zbudzony,
A odejść muszę!
Czemu w umyśle dziecka już panuje
Pojęcie wielkie o zjawiskach życia,
Tak, wielkie! — gdy je przed sobą uczuje,
Są dlań jak próżne wspomnienia, odbicia?
Ha, czemu nie brzmi twoich skrzypiec granie?
Czemu nie wskrzesi, czemu nie poruszy
Całego świata duchów w naszej duszy! —
Nikt o nich nie wie, senne, zapomniane
Są tam, jak kwiaty gruzem zasypane!
Gdyby cię słyszeć tak przez życie całe!
W tem się nie gubić, co splątane, małe!
Dziś czuję, mogę! Groźby się nie boję
Twojej! — o, spełń ją! Jeśli życie moje
Umarłem było, Życiem bądź mi, Śmierci!
I cóż mnie zmusza, mnie, com ich nie umiał
Dotąd rozróżniać, ciebie nazwać *śmiercią*
A tamto *życiem*? O, Ty w jedną chwilę
Umiesz wlać więcej, więcej tego życia,
Niż całe jedno życie objąć zdolne! —
Niech już od ułud próżnych serce wolne
Odda się twojej cudotwórczej sile!

(Zamyśla się na chwilę).

Może to, może, przedśmiertne poznanie,
Które się nagle w krwi stygnącej budzi?..
A przecież nigdy z taką życia siłą
Serce tak wiele nie czuło, — nie żyło.
A jeśli teraz jak płomień gasnący
Mam się wypalić, dusza moja cała,
Tą jedną chwilą wypełniona, pała —
Życia mojego cień niech się rozwieje...
Teraz, konając, czuję, że istnieję!
O, nieraz we śnie nadmiar rojeu złoty
Budzi człowieka potęgą tęsknoty:
Tak ja, uczucia zbudzony nadmiarem
Z snu mego życia, dziwnych potęg czarem
Idę na Śmierci czuwanie wieczyste!

(Pada martwy u stóp Śmierci).

Śmierć
(potrząsając głową, odchodzi zwolna).

Dziwne istoty! Co jasne i czyste,
Gdzie nic tłomaczyć nie trzeba — tłomaczą,
Gdzie nic nie było pisane — czytają...
Splątane nici wiążą i chwytają
I w wiecznych mrokach nawet drogi znaleźć..

(Znika w drzwiach środkowych).

W pokoju cisza. Za oknem ukazuje się Śmierć grająca na skrzypcach. Za nią — Matka, Dziewczyna, obok nich postać do Claudia podobna.

Tłom. *Marya Markowska.*

wy, pływającego na powierzchni żywiołu, z którym się nie zlewa. Przebywa ona w pewnem otoczeniu, czerpie z niego środki utrzymania, ale zachowuje się bezczynnie, a nawet obojętnie względem zadań codziennego życia prowincyonalnego. Niekiedy zorganizuje teatr amatorski, założy lutnię lub urządzi wystawę artystyczną, dorywczo zajmuje się dobroczynnością, tj. narzuca prowincyi wzory warszawskie, ale nie podejmuje wątków, które wyrosły z potrzeb codziennych prowincyi, na jakie spogląda lekceważąco. Postępowaniem swojem przypomina elegantkę, która, kładąc modną suknię, nie dba, czy czystą jest spodnica. Stwarza teatry amatorskie, ale nie zajmie się sprawą usunięcia błota prowincyonalnego, będzie śledziła wypadki życia warszawskiego, lecz najżywotniejsze prądy życia codziennego w jej otoczeniu pozostaną dla niej obojętne. Żyje wielkim światem, tęskni do Warszawy, z której otrzymuje przemądre rady: gawędzenia o pilniejszych kwestyach przy wincie... Kierownicy opinii publicznej rzadko należą do tego odłamu inteligencyi, który szedł „na miejsca," tj. na posterunki szarej, codziennej, ale bądź co bądź społecznej pracy. Są oni z liczby tych, którzy w sercu piastowali ideały i rady *Kuryera sosnowieckiego*. Nie od nich możemy spodziewać się podjęcia szerszych zadań, ani nie od nich oczekiwać obrazu bólów i potrzeb prowincyi. Wychodzą tam na widownię z ukrycia inni ludzie, z pośród pół-inteligencyi. Ale o nich kiedykolwiek w przyszłości.

J. Wojewódzki.

FEJLETON.

DWIE CYWILIZACYE.

„Tutto il mondo e uno paese."
(Przysł. włoskie).

Dzienniki europejskie prześcigają się w podawaniu wiadomości z teatru wojny chinskiej, wiadomości sensacyjnych krwiożerczość i barbarzyństwo skośnookich synów wielkiej i odwiecznej cywilizacyi ilustrujących. Istotnie, jeżeli tylko wiadomości te są prawdziwe, jeżeli są tylko powolnem odbiciem rzeczywistości smutnej, nie zaś złej woli lub fantazyi i lekkomyślności reporterów — przyznać trzeba Chińczykom, że są wytrawnymi i wyrafinowanymi majstrami w pozbawianiu życia. Oto czytamy w korespondencyi „specyalnej" w wielkim dzienniku europejskim, w jaki sposób Chińczycy wykonali karę śmierci na pewnym żołnierzu angielskim. Związanego powalili na ziemię, powbijali w ziemię wysokie cztery kołki, do których przywiązali rzemieniami ręce i nogi skazańca: do kołków przymocowali wielką płachtę cienkiego papieru, tak wielką, iż zakrywała zupełnie żołnierza. Papier był misternie i drobno podziurkowany. Otóż dziurkami temi zaczęli zwolna cieniutką strugą sypać ciepły piasek, przeważnie w kierunku twarzy skazanego na męki chrześcianina. Trwało to bez przerwy; oczy, nozdrza, usta nieszczęsnego zapełniają się powoli strumieniem sypiących się z góry ziarenek. Duszą go. Umiera. Procedura zaś wtedy dopiero uważana jest za ukończoną, kiedy ława piasku zakryje zupełnie „żółtego djabła"... słusznie, albowiem wtedy prócz wymiaru kary, prócz uczucia dokonanej zemsty — już i mogiłę gotową zdobędą i grabarza oszczędzą.

Pewnać to, że fantazya nasza, fantazya człowieka współczesnego nie wymyśliłaby nic bardziej okrutnego. Zaledwie starczy jej nam na to, aby sobie grozę tej z najprostszych środków utkanej męczarni wyobrazić, ażeby *tych* Chińczyków i *tego* niewinnego, *nie z własnej woli* ginącego męczennika w świadomości swej wskrzesić. Niestety, nauki historyi nie pozwalają w tym względzie wysuwać Chińczyka na pierwsze, uprzywilejowane miejsce w panteonie okrucieństw przez człowieka na człowieku dokonanych. Oto bowiem otwieramy księgę czynów i chwały W. Inkwizycyi hiszpańskiej i pod rokiem 1527 czytamy: „d. 21 czerwca powołano przed inkwizytora Moriza oskarżonego o herezyę lekarza z Valladolidu, Jana de Sales. Ten oświadczył, że nie przyznaje się do żadnego z przypisywanych mu czynów. Wtedy Moriz nakazał zaprowadzić go do izby, gdzie były narzędzia tortury. Rozebrano go. Służący, Piotr Porras, przywiązał go powrozami z konopi do ławy, a to w ten sposób, że każda noga i ręka zostały po jedenaście razy okręcone powrozem. Wezwano go, aby powiedział prawdę, on jednak zapewniał o niewinności. Poczem zarzucono mu na oblicze mokrą chustę z cienkiego płótna, którą zlewano wodą tak, iż ta zapełniła mu usta i nozdrza. Pomimo to Salas obstawał przy swojej niewinności. Wtedy wykręcono mu prawą nogę za pomocą korby, a jednocześnie oblewano wodą. Potem wykręcono nogę po raz wtóry. Salas nie przyznał się do winy. Inkwizytor oświadczył, że tortura została rozpoczętą, ale jeszcze nie skończoną — i odwiązano Salasa od ławy. Całej procedurze asystowałem ja, Henryk Paaz, notaryusz..." Wszystko już było! — zawołamy, czytając tę epiczną, piórem wiarogodnego świadka, sekretarza W. Inkwizycyi, Llorente'a skreśloną opowieść *). A jakżebyśmy pragnęli, my Europejczycy, walczący z Chińczykami o pierwszeństwo w wynalazkach sztuki drukarskiej, tuszu itd., jakżebyśmy szczerze pragnęli ustąpić im w tym wypadku pierwszeństwa patentu na ten wynalazek!

Zen. Por.

*) „Histoire critique de l'Inquisition de l'Espagne" Paryż, 1817, t. II, str. 21.

PAMIĘTNIK.

Sprawy szpitalne.

W ostatnim zeszycie *Zdrowia* poruszona została sprawa wielkiej wagi. O potrzebach szpitalnictwa pisano w ostatnich czasach wiele, wskazywano różne i liczne braki, ale żaden z nich chyba nie jest tak dotkliwym, jak niedostateczne odżywianie chorych szpitalnych. Podajemy z ciekawej pracy, pomieszczonej w *Zdrowiu*, niektóre dane, które powinny przemówić za siebie. Jeszcze do 1 stycznia 1900 r. koszt dzienny żywienia jednego chorego w szpitalach warszawskich wynosił 18 kop. (wyraźnie osiemnaście kopiejek). Cyfra ta — komicznie miniaturowa (w Berlinie np. dzienny koszt chorego wynosi 1 markę) — podniesiona została obecnie do 20 kop. z konieczności wskutek podwyżki cen produktów spożywczych. Zobaczmy, jak przedstawia się ilościowo żywienie chorych szpitalnych. Dawny podział żywienia na dyety: zwykłą, umiarkowaną, słabą — został zniesiony: obecnie chorzy żywieni są na podstawie pewnego stałego cennika pokarmów, wydawanych w szpitalu. Dzienny koszt utrzymania jednego chorego mnoży się przez ilość chorych w danej chwili przebywających i według tej ogólnej sumy normuje się ilość pożywienia. Ciekawe są obliczenia autora pracy, wykazujące, że ilość ciepłostek, jakie chory w szpitalach warszawskich z substancyami pokarmowemi do ustroju wprowadza, odpowiada zaledwie temu, co uznane zostało za *minimum* potrzeb ustroju chorego. Jakże więc wobec tego przeprowadzać leczenie takich chorych, których ustrój i cierpienie wymaga ilości pożywienia, przekraczającej miarę zwykłą, czyli przekarmiania? Jeżeli rzucić okiem na salę szpitalną, łatwo przekonać się, że tacy właśnie chorzy stanowią znaczną większość: nie mówimy już o najrozmaitszych cierpieniach przewlekłych, wystarcza przypomnieć tylko nieśmiertelną plagę szpitali całej kuli ziemskiej — gruźlicę; każdy laik wie dobrze, że choremu takiemu prócz powietrza nakazać należy: dużo jeść, dobrze się odżywiać. Czy więc w takich warunkach może być mowa o minimalnych potrzebach ustroju i czy nie domaga się ta sprawa gwałtownej reformy? Nie lepiej przedstawia się i jakość podawanego chorym pożywienia. Chorzy szpitalni dostają jeść trzy razy dziennie, przyczem obiad podają im o 1-ej (w dni t. zw. wizytowe o 12-ej), a kolacyę o 6-ej (w ilości nader skąpej); przeto przerwa pomiędzy obiadem a kolacyą jest stanowczo zbyt długa i nierównomierność żywienia chorych w pierwszej i drugiej połowie dnia rzuca się w oczy. Do ujemnych stron żywienia szpitalnego zaliczyć należy jeszcze niesłychanie mały wybór pokarmów podawanych chorym, nieumiejętność w przyrządzaniu pożywienia oraz pewien regulamin koszarowy, utrudniający zabiegi lecznicze. Niektórych cierpień, wymagających specyalnej dyety, niepodobna zupełnie poddawać kuracyi, ponieważ zalecane pożywienie nie bywa w szpitalu wydawane zupełnie lub wydają je w ilości zbyt małej — a o działaniu na zmysł smaku chorego, o uwzględnianiu potrzeb fizyologicznych danego ustroju, o jakiemkolwiek indywidualizowaniu dyetetyki nie może być mowy — czyni się raczej wszystko, ażeby choremu obrzydzić jedzenie. Stan ten, zły sam przez się, powoduje zło następcze, gdyż chorzy, pozbawieni niezbędnych części pożywienia—każą je sobie sprowadzać z domu i konsumują bez kontroli lekarza. Po za tą treścią wewnętrzną braków dyetetyki szpitalnej, którą poruszyło *Zdrowie*, chcielibyśmy zwrócić uwagę jeszcze na stronę zewnętrzną, będącą w niemniej opłakanym stanie. Trzeba się przyjrzeć tylko, jak jadają chorzy w naszych szpitalach, trzeba widzieć te kubły, w których jedzenie roznoszą, te odrapane talerze mosiężne, na których je podają! Posługacze od kuchni do sali szpitalnej odbywają prawdziwą wędrówkę, talerze niosą nienakryto, wskutek czego jedzenie do miejsca przeznaczenia dochodzi prawie zupełnie zimne. Trzeba widzieć taki stolik szpitalny o powierzchni stronicy z książki *in folio* — stolik dla dwóch chorych-sąsiadów, na którym talerze z pożywieniem stawia się obok flaszek z lekarstwami i obok kufli z cuchnącą plwociną! Trzeba odetchnąć przez chwilę stęchłem powietrzem sali szpitalnej, trzeba posłuchać jęczących chorych obłożnie, ażeby przekonać się, jaki wszystko to razem może mieć wpływ na psychikę chorego obiadującego. Podobno w nowym szpitalu Dzieciątka Jezus mają być uwzględnione sale jadalne dla chorych, wózki do przewożenia potraw itd. Podobno podwyższenie kosztów dziennego utrzymania jednego chorego o 9 kop. pozwoliłoby osiągnąć postulaty powyższe. Potrzeba by było jednak żywego zainteresowania się ogółu tą pilną sprawą.

Wojna celna.

(Notatka tymczasowa).

Ostatnie dni przyniosły obfite żniwo powagi pełnych doniesień urzędowych. Rząd amerykański nałożył nagle cło na cukier rosyjski, równające się premium wywozowemu. W odpowiedzi na to minister skarbu podwyższył niezwłocznie cło od przy-

bywających do Rosyi wyrobów amerykańskich żelaznych (maszyny, aparaty itd.). Odnośne rozporządzenie ogłoszone zostało w *Prawit. Wiestn.* z d. 16 lutego. Nie byłoby oczywiście w tem przekomarzaniu się nic zdrożnego, a tem mniej okrutnego, przywóz bowiem cukru rosyjskiego do Ameryki jest bardzo nieznaczny, a przywóz wyrobów amerykańskich nie przenosi 30 milionów dolarów. Chodzi jednak, zdaje się, o zupełnie inne rzeczy. *Dich schlägt man, mich meint man!* Musimy przypomnieć czytelnikowi, że przed kilku tygodniami kanclerz Rzeszy niemieckiej wyśpiewał kilkakrotnie hymn miłosny na cześć agraryuszów i rolnictwa niemieckiego, czyniąc nader poważne aluzye, omal nie zapowiadając stanowczego podwojenia ceł na zboże rosyjskie. Na tę zwyżkę już oddawna ostrzy zęby junkier pruski, od niej czyni zależnym i byt swój i swoją dla tronu lojalność. Dzienniki agrarne, a po części i inne wystąpiły wtedy z zapewnieniem, że tak ostrożny dyplomata, za jakiego chce uchodzić hr. Bülow, nigdy nie pozwoliłby sobie na taką ekspektoracyę, gdyby sobie nie był zapewnił poprzednio zgody rosyjskiego ministra skarbu. Że zaś dzienniki petersburskie nie przyjęły oświadczenia kanclerskiego przychylnie, ale uderzyły jednogłośnie w wielki dzwon alarmowy, to — nic nie znaczy: nie były poinformowane o zamiarach istotnych p. ministra skarbu. Tymczasem *Torg. prom. gaz.*, organ zazwyczaj dobrze poinformowany o wszystkiem, co się dzieje w kancelaryi i gabinecie ministra, kategorycznie zaprzecza możności zawarcia traktatu na takich warunkach. „Niemcy więcej są zainteresowane zawarciem traktatu, który, prócz handlu, obejmuje i inne stosunki. Cudzoziemcy korzystają z ulg przy prowadzeniu handlu i przemysłu, władaniu majątkami osobistymi, prowadzeniu spraw sądowych, uwolnieniu od wykonywania obowiązków rekwizycyi, towarzystwa akcyjne jednego kraju prawnie istnieją w drugim, sądy są dla wszystkich jednakowe, kapitały ochraniane są przez instytucye cywilne. Tem wszystkiem Niemcy są znacznie więcej zainteresowani, niż Rosyanie. Jeżeli ktoś obiecuje przynieść Rosyi szkodę przez zmniejszenie zbytu produktów gospodarstwa rolnego, to Rosya na wadze stosunków międzynarodowych potrafi znaleźć właściwą przeciwwagę. Rząd rosyjski ściśle zdaje sprawę z tego, jak skomplikowana sieć różnych interesów cudzoziemców spleciona jest obecnie na terytoryum rosyjskiem, pod osłoną traktatów handlowych. *Kto zajmuje się podziałem skóry z niezabitego jeszcze niedźwiedzia*, ten powinien być przygotowany na to, że spotka przeciwnika, mającego równe prawa i dobrze uzbrojonego. Rząd rosyjski nie jest zaniepokojony *agitacyą, dającą się zauważyć za granicą* i gotów jest odpowiedzieć na każde obostrzenie. W sprawie stosunków celnych ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej organ ministeryum skarbu pisze, iż oddawna w stosunkach pomiędzy Rosyą a Stanami Zjednoczonymi ustaliła się nuta przyjacielska. Jeżeli w tej nucie w ciągu dni ostatnich dał się słyszeć pewien dysonans, to należy mniemać, że jest to objaw przejściowy."

Jeżeli można wierzyć zapewnieniom niezależnej prasy niemieckiej, to wpłynąć na rozwinięcie tej agitacyi anti-rosyjskiej i na rękawicę rzuconą przez p. Bülowa miały względy osobistych sympatyj cesarza Wilhelma, który podobno jest nadmiernie rozgoryczony polityką obojętności, stosowaną przez wojska rosyjskie i francuskie względem hr. Waldersee. Niedawny pobyt w Anglii zaznaczono tam tryumfy, złożone dowody łaski i sympatyi, osłaniane pozornie pokrewieństwem rodzinnem i plemiennem, czyniły na zewnątrz wrażenie klującego się albo już urodzonego sojuszu z Anglią, oczywiście przeciwko Rosyi zawieranego czy zawartego. W Chinach tylko wojsko angielskie wiernie stoi przy buławie feldmarszałka niemieckiego. Krügera odprawiono wbrew dawnym ślubom i obietnicom z pod bramy niemal brandenburskiej. Wszystko razem wzięte i w świadomości pomieszane i przetrawione — daje jeden obraz nowalii przedwiosennej, zapowiedź poważnych zapasów. Otwiera się perspektywa w jednym przynajmniej punkcie — nie szeroki, ale daleki i długi pozwalająca ogarnąć widnokrąg. Stoimy dziś przy tym drobnym otworze, przeczuwając, że on nie będzie ostatnim.

Nieład

Dotychczas wiadomo było, że koleje żelazne lekceważą głównie podróżnych, jako towar podrzędny, przynoszący mniej zysku, niż np. węgiel, mąka, drzewo, zboże, żelazo, bydło itd. Okazuje się wszakże, iż lekceważenie to sięga dalej: przynosi ono wielką krzywdę pewnym odłamom przemysłu i handlu, a tem samem pośrednio szkodzi interesom szerokiego ogółu spożywców. Kilka poważnych składów mleczarnych w imieniu wszystkich zaprotestowało przeciwko nieładowi, panującemu na kolei Wiedeńskiej. Kwit na przewóz mleka z pewnej stacyi do Warszawy zobowiązuje kolej do powrotnego przewozu naczynia pustego, tymczasem oto co się dzieje (według brzmienia skargi zamieszczonej w *Kuryerze warsz.*): Na stacyach w Warszawie niema nikogo, ktoby przyjmował naczynia próżne. Nikt też nie wydaje pokwitowań, któremi można byłoby udowodnić ilość naczyń, oddawanych kolei do zwrotnej przesyłki, i czas, kiedy naczynia te były na kolej dostarczone. Bez najmniejszej kontroli ładowane one są do wagonów i bez najmniejszej kontroli wyrzucane (w dosłownem znaczeniu) na stacyach; przytem konwie, przeznaczone do Grodziska, dostają się do Rudy Guzowskiej, albo zamiast do Brwinowa, do Pniewa. Bez najmniejszej również kontroli wydawane są naczynia służbie folwarcznej, która często, nie widząc swoich, bierze pierwsze lepsze z brzegu. Na wszystkich stacyach brać można i zamieniać konwie bez żadnego tłomaczenia się komukolwiek. Konwie są kosztowne. Jedno naczynie przeciętnie kosztuje 6—7 rb. Każdemu dostawcy ginie ich kilkanaście rocznie skutkiem nieładu panującego na kolei. Nadto skutkiem niedozoru przy ładowaniu i wyładowywaniu niszczą się one bardzo szybko. Z tego powodu mnożą się skargi tysiączne, a w chaosie i nieładzie ogólnym niejednokrotnie cierpią ludzie niewinni. Gdyby taki znamienny obrazek gospodarki dostał się do wiadomości kolei zagranicznych, powiedzianoby, że to są żarty. Dziwić się wobec tego nie można, że dotychczas jeszcze, pomimo rozwoju kolei żelaznych, olbrzymia część produktów wszelkiego rodzaju przybywa do Warszawy furmankami ze stron posiadających komunikacyę kolejową. Dostawcy są bowiem pewni, że tą drogą towary ich dojdą do miejsca przeznaczenia z większą akuratnością, a naczynia wrócą całe i niezamienione.

Rozterki.

Drugie Towarzystwo wzajemnego kredytu, które przez parę miesięcy swego istnienia ciągle gorączkowało, nareszcie poddało się operacyi i na ogólnem zebraniu nadzwyczajnem, zwołanem w tygodniu ubiegłym, za pomocą głosowania usunęło obce ciało — przyczynę stanu zapalnego i choroby całego organizmu. Tem obcem ciałem był jeden z dyrektorów, p. Kempiński. Na miejsce jego powołano p. Turkusa, a pp. Woyzbun i Chrzanowski znaczną większością głosów pozostali na dotychczasowych stanowiskach. Zdawało się, że wszystko jest już w porządku i że organizm chory dojdzie odrazu do zdrowia. Tymczasem okazało się, że istnieją nabrzmiałe od zapalenia gruczoły limfatyczne — w radzie zarządzającej, która niezadowolona z wyniku wyborów, podała się do dymisyi. Towarzystwo więc, w dalszym ciągu chore, będzie się musiało poddać ponownej operacyi — tj. wyborom nowej rady zarządzającej. Cały przebieg tej smutnej sprawy stwierdza to, cośmy pisali przed parą tygodniami: pobudki prywatne rozgościły się na dobre w sprawach publicznych. Przedtem jednak widzieliśmy owe pobudki tylko w zarządzie; obecnie zaś okazuje się, że tkwią one i w radzie, bo jak dowodzi zajście na wyborach, sharmonizowanie zarządu nie usunęło rozdźwięku między zarządem a radą, tymi dwoma organami, bez których instytucya istnieć nie może. Fałszywy ton ozwał się tym razem z rady.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

J. K. Kochanowski: *Kazimierz Wielki*, zarys żywota i panowania. („Życiorysy znakomitych ludzi"). B. Natanson. — *Witold, wielki książę litewski*. Lwów.

Autor usiłuje odtworzyć postać wielkiego króla na tle cywilizacyi ogólno-europejskiej, co należałoby poczytywać za zaletę dzieła, gdyby tło namalowane było z większą umiejętnością. Tymczasem jest ono zbyt niewyraźne i mgliste, stanowi jakąś mieszaninę z barw i rysów na chybił trafił uzbieranych. Przytem wysłowienie się autora jest nieraz tak przesadnie wyszukane, zawiłe i ciemne, że trudno zrozumieć myśl, którą chce wyrazić. Na dowód, iż nad życiem dziejowem Europy XIV w. unosił się nowy duch, duch krytycyzmu, autor wymienia Rogera Bacona, rozdwojenie rzymsko-awiniońskie, Wiclyffa, francuską *Jacquerie*, cesarzów Ludwika Bawarskiego i Karola IV, styl gotycki i t. p. Nie zastanawiając się nad poszczególnemi zdaniami, wypowiedzianemi przez historyka, zapytajmy go, co ma wspólnego duch krytycyzmu w dziedzinie wiary i nauki z takimi ruchami ekonomiczno-społecznymi, jak bunt włościaństwa we Francyi. Włościanie podnieśli przecież oręż przeciwko panom swoim dlatego, że doznawali od nich srogiego ucisku, dlatego, że doskwierała im okrutnie nędza, która się wzmogła jeszcze bardziej podczas wojny stuletniej, lecz nie dlatego, że się przejęli jakimś duchem niezależności, który miał według autora działanie swoje ujawniać we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, przyczem duch ten dziwne igrzyska wyprawia, bo wcielając się w Wiclyffa, burzy panujące poglądy religijne i jednocześnie „pogłębia wiarę istotną, gorącą," która się objawia w stylu gotyckim, jako swoim symbolu widomym, kiedyindziej znowu pobudza społeczeństwa do jakiejś „pracy twórczej i do czerpania z niej siły w dalszym pochodzie rozwojowym ku jaśniejszym szlakom cywilizacyi i postępu." Na te wszystkie bałamutne twierdzenia jedno tylko powiedzieć możemy: nie należy używać przenośni, od których się myśli zaciemniają. Przecież życie dziejowe jest szeregiem rozmaitych objawów, różnorako ustosunkowanych, ale nie objawieniem się jakiegoś ducha metafizycznego! Mimochodem pozwolimy sobie wytknąć autorowi parę błędów elementarnych. Bunt włościaństwa we Francyi nazwano „Jacquerie" nie od imienia przywódcy, lecz od pogardliwego przezwiska, które szlachta dawała włościanom. Niesłusznie historyk uważa Ludwika

Bawarczyka za osobistość *par excellence* średniowieczną. Alboż nie wiadomo badaczowi, że cesarz ten dawał u siebie przytułek takim głosicielom zasad nieśredniowiecznych, jak Marsyliusz z Padwy lub William Occam?

Zamiast rozprawy o „duchu dziejowym" wolelibyśmy widzieć we wstępie do dzieła zarys stosunków polityczno-społecznych w Europie XIV w.: zdaniem naszem takie tło byłoby najodpowiedniejsze dla obrazu działalności Kazimierza W., jako prawodawcy i administratora. Na Zachodzie tworzyło się podówczas państwo nowożytne, tj. dokonywał się proces ten sam, co i w Polsce. Duch zaś krytycyzmu znajdował się u nas jeszcze w uśpieniu, więc po co go ruszać przedwcześnie?

Przechodzimy teraz do samego życiorysu. Układ jego, zdaniem naszem, nie jest zbyt udatny: autor opowiada wypadki chronologicznie, skutkiem czego musi łączyć ze sobą fakty nader różnorodne — reformę monetarną i sprawy pomorskie, zatarg z duchowieństwem i zjazd wyszehradzki, sprawy ruskie i nowe śluby króla itp. Jednolitą całość stanowi rozdział trzeci, omawiający ustawodawczą działalność króla, jednakże i tu — nie wiadomo dlaczego, znalazło się opowiadanie o dalszych zabiegach Kazimierza około zabezpieczenia się z Zachodu. Czyżby nie można było zabiegów tych połączyć ze sprawami polityki zewnętrznej?

Opowiadanie nie odznacza się jasnością i wyrazistością, nawet zrozumiałością, a czasem zawiera w sobie wprost sprzeczności, co czytelnikom dziełka popularnego, którzy nie są obznajmieni dobrze z dziejami, wyrządzać musi krzywdę i szkodę niemałą. Władysław Łokietek zaręczył około r. 1322 swego młodocianego syna z córką Jana Luksemburskiego, lecz śluby nie doszły do skutku. Historyk uważa rozchwianie się tego związku za szczęśliwy wypadek, „gdyż chłopięcy wiek królewicza naraziłby go niewątpliwie na szkodliwe wpływy domu luksemburskiego, których przykładu dostarczył późniejszy, choć już nie niebezpieczny stosunek Kazimierza z synem króla Jana, cesarzem Karolem IV" (str. 15). Na czem polegała szkodliwość owych wpływów, czytelnik, nieznający dziejów dynastyi luksemburskiej, chyba nie zrozumie.

Posłuchajmy dalej, co nasz historyk prawi o zbliżeniu się Kazimierza do tegoż domu luksemburskiego (str. 38). „Otwierała się przed Kazimierzem możność wejścia w porozumienie z Luksemburczykiem, co tak dla Polski było pożądanem; należało obecnie, wolnemu od szerszych zobowiązań, królowi obrać stanowczo rolę i barwę, jaką nadał w szrankach podzielonej na obozy Europy nosić miała monarchia Piastowska. Prowadzona przez Łokietka, w myśl polityki papieskiej, której zresztą monarcha ten wiele początkowo zawdzięczał dobrego, walka ze stronnictwem Wittelsbachów w Niemczech przywiodła w końcu Polskę do niebezpiecznych zatargów z Brandenburgią, z Zakonem, opornym niejednokrotnie samej głowie kościoła, i z Czechami. Stan ten zaostrzył się jeszcze bardziej, gdy Jan Luksemburski zhołdował sobie dwa księstwa Piastowskie: Śląsk i Mazowsze. Ze szkodliwą tradycyą polityki ojcowskiej zerwać należało koniecznie." Czytelnicy sądzą, że monarchia piastowska przybrała stanowczo barwy obozu cesarskiego od tej chwili, którą zaznacza nasz autor? Ależ nie! bo to było wprost niepodobieństwem. Jan Luksemburski toczył podówczas walkę z cesarzem Ludwikiem Wittelsbachem, więc Kazimierzowi pozostawało jedno z dwojga: albo znajdować się w obozie cesarza, albo Jana Luksemburskiego. Kazimierz wybrał obóz tego ostatniego, znalazł się tedy odrazu w obozie wrogim cesarzowi. Wobec tego cóż znaczą słowa o konieczności przybrania stanowczej roli i barwy, albo podobne tym: „to też, jeśli i później jeszcze spotykamy Kazimierza w obozie wrogim cesarzowi, dzieje się to w odmiennych już warunkach politycznych." Sam historyk mówi tuż dalej nieco, iż Jan Luksemburski zdołał Kazimierza pozyskać dla swego obozu.

Układa autor opowiadanie ze szczegółów często drobiazgowych, które mogą nużyć uwagę i pamięć czytelnika, a gdy zdobywa się na uogólnienie, wypowiada tylko same nic nieznaczące frazesy. W osobie Kazimierza „na tron wstępował młodzian innej szkoły, innego ducha, innych aspiracyj. Łokietkowa puścizna dostawała się duchowemu dziecięciu rozkwitającego na Zachodzie nowego wieku. Otrzymywał ją szermierz nowych prądów i dążeń, które dały na mogiłach rumowisk, nędzy i barbarzyństwa—życie i rozwój cywilizacyjnemu posiewowi." Przeczytawszy te wyrazy, chcielibyśmy wiedzieć, co stanowiło treść, istotę tych nowych dążeń i prądów, czem nowy wiek różnił się od poprzedniego, ale pragnienia naszego dziełko rozbierane nie zaspokoi. Wprawdzie we wstępie autor usiłował określić ducha nowego wieku, lecz usiłowania te, niestety, pozostały — wysiłkami.

Nareszcie, niektóre twierdzenia badacza są dziwnie niezrozumiałe albo nawet mylne. Co znaczy np. zasada dziedziczenia przynależności prawnej, ktora normowała stosunki społeczne w monarchii frankońskiej? (str. 65). Badacz ma tu zapewne na względzie t. zw. zasadę osobowości (Personalitätsprinzip), na mocy której to zasady każdy obywatel państwa frankońskiego podlegał prawu tego szczepu, z którego pochodził. Jeżeli tak, to historyk myli się, twierdząc, że Żydzi w państwie frankońskiem rządzili się prawem mojżeszowem w myśl owej zasady. Względem nich nie stosowano jej tak samo, jak względem cudzoziemców (Brunner: „Deutsche Rechtsgeschichte," I, 275).

Przytoczymy jeszcze jeden dowód, jak trudno czasem zrozumieć autora. „Kary za wszelkiego rodzaju przestępstwa, przewidziane w statucie Wiślickim, pozbawione są wogóle, właściwego im dzisiaj, *pierwiastku fizycznej odpowiedzialności winnego*." Pierwiastek ten zrozumie chyba tylko prawnik specyalista, jeżeli pierwiastek podobny istnieje, o czem mocno wątpimy.

(D. n.).

Witold Nowodworski.

LITERATURA I SZTUKA.

Mała rzecz — duży wstyd.

Kraków, 10 lutego.

Nie będziemy czynili p. Tetmajerowi zarzutu z tego, że Zawisza, na którym można podobno polegać, raz przecież zawiódł. Byłby może p. Tetmajer uniknął rozczarowania i wewnętrznej porażki, gdyby okazał się był odporniejszym na zapachy laurów zbieranych przez Rydlów, Nowińskich, Szukiewiczów i inne filary dramatycznej sztuki polskiej; byłby może stworzył dzieło piękne i poety godne, gdyby nie fatalna prawda, że czas biegnie i że godzina, która bijąc, nie bije dźwiękiem „Sła-wa," jest godziną dla literata straconą.

Dziś pisze się dramaty. Każdy szanujący się literat musi napisać dramat. Stwierdzamy fakt, nie wnikając na razie w przyczyny, które go zrodziły. Dzięki specyalnym warunkom Kraków jest podatnem polem dla *steeple-chase* dramatycznego. Dwaj współzawodniczący ze sobą dyrektorowie teatrów pomagają tym wyścigom. Rozlega się wiadomość, że p. Pawlikowski wystawia „Legion" Wyspiańskiego i musiałby p. Kotarbiński podrzeć na sobie szaty, gdyby opatrzność nie zesłała mu p. Tetmajera. Legion — Zawisza Czarny — cios jest odparty i równowaga utrzymana.

Tak się zdawało.

„Legion," do którego zresztą wrócimy, nie utrzyma się na scenie. Padnie tak, jak upadł „Lelewel." Ale padnie ze szczytów, padnie dlatego, że dla warunków teatralnych ma koncepcyę zbyt wysoką, że niema w nim tonu, któryby nie szedł z niebotycznych wyżyn, a są tony, które biegną aż w nieskończoność. To nie jest sztuka teatralna — ale sztuka, natchnienie i wielka, głęboka poezya. Zaś „Zawisza Czarny" mógłby być bardzo teatralny, gdyby p. Tetmajer był nad nim popracował, sceny niepowiązane powiązał, wątek umocnił, — słowem, gdyby go był napisał. Ma śliczne dekoracye, mnóstwo efektów scenicznych, jest w miarę trywialny (chociaż to podobno oznaczać ma „styl" epoki), w miarę śmieszny, popłakuje reminiscencyami z Hauptmanna, Rydla — *nawet* Słowackiego: trupy padają jak muchy, zawodzi miłość nieszczęśliwa, kmiotek kocha szlachcica, szlachcic tańczy oberka, niemiec jest nianawistny — krótko mówiąc, w „Zawiszy Czarnym," tak jak go naszkicował p. Tetmajer, mieści się materyał do doskonałej sztuki niedzielnej i nieoceniona wskazówka dla literatów, którzyby widzieć chcieli, jak *nie* należy pisać dramatu.

Nie wspominalibyśmy o przedstawieniu „Zawiszy Czarnego," bo przykro jest mówić o porażce talentu. „Zawisza" wszakże w ten sposób wprowadzony był na scenę, że naraził p. Tetmajera — z wolą lub mimo jego woli — nie wiemy, na wielki wstyd, który nie opłaca tak małej rzeczy. Wjazd „Zawiszy" poprzedziła huczna reklama — trąbił *Czas*. A trzeba mieć zasługi, aby *Czas* poruszyć... *Głos narodu* rozpostarł również nad p. Tetmajerem opiekuńcze skrzydła. I zapowiadał, że będzie drukował ustępy z „Zawiszy Czarnego." Do tego zaś potrzebna jest zgoda autora... I zapowiedź nie została cofnięta...

Znalazłażby ta piękna dusza, dla której nigdzie nie było „spoczynku i przystani," spoczynek i przystań w stańczykowskich salonach i w bagnie p. Ehrenberga? Jest-że to ten sam p. Tetmajer, który przed dwoma niespełna laty rzucał w świat odezwy, o których powiedzieć było trzeba, że pisał je poeta-obywatel, poeta pomny tego, że ma zaszczyt należeć do wielkiej zaprawdę rodziny, której wierzenia i drogi wskazał słowem i życiem nie byle kto, bo Mickiewicz!

Chcemy przypuszczać, że pierwszy teatralny występ oszołomił p. Tetmajera, że oszołomienie to sprawiło, iż p. Tetmajer zapomniał, co wolno czynić poecie. W przeciwnym razie musielibyśmy z bólem stwierdzić, że p. Tetmajer siadł przy żłobku i że uśmiecha mu się przyszłość jasełkowego Shakespeare'a. Byłoby to bardzo smutne.

W *Czasie* umieścił też p. Tetmajer w stylu po-pogrzebowym napisane podziękowanie „wszystkim tym (następują nazwiska i godności), którzy przyczynili się" i t. d. i t. d. W dowód wdzięczności swojej i w dowód uznania, jakie p. T ma dla ciężkiej, nie zapewniającej starości, słowem niewdzięcznej sztuki aktorskiej, wzywa p. T. publiczność do popierania artystów i sam na kasę emerytalną obiecuje złożyć *„połowę swojego dochodu z pierwszego popularnego przedstawienia Zawiszy."* Znaczy to, że wdzięczność p. Tetmajera wyraża się aż w sumie — mniej więcej 22 złr.!

A kto zaczął czytać przemowę p. Tetmajera, musiał przypuszczać, że p. T. uważa tę kasę emerytalną za instytucyę tak ważną, iż conajmniej zapisze jej dochód z całego Zawiszy i z wszystkich swoich przyszłych dramatów!

Przypomnimy jeszcze w tem miejscu, że właśnie przed dwoma laty p. Tetmajer przy sposobności walki, której powodem był Słowacki, mógł poznać polot dusz stańczykowskich. W stosunku kliki stańczykowskiej do Juliusza Słowackiego streszcza się stosunek tej kliki do poetów, literatów i artystów wogóle. Występuje tu odwieczny konflikt tego ducha, którego określił Słowacki, z duchem konserwatywnym, hierarchicznym, kastowym. Rolę znienawidzonego przez artystów wszystkich krajów „burżuazyjnego“ filistra wzięła na siebie u nas stańczykierya, za którą ciężkim krokiem po wydeptanej drodze wlecze się biurokracya i sklerykalizowane drobnomieszczaństwo. Między poetą, o którym Shelley już powiedział, że jest „nieuznanym prawodawcą świata, zwierciadłem odbijającem olbrzymie cienie, jakie przyszłość rzuca na chwilę bieżącą,“ między poetą a warstwą, której jedyną treścią i celem jest zachowywanie wszystkich śladów chwili minionej, musi istnieć zasadniczy i głęboki antagonizm.

I przypuszczamy, że artystyczny temperament p. Tetmajera i jemu wskaże, gdzie jest jego miejsce.

M. Z.

POEZYA I RYMY.

Gustaw Daniłowski: *Na wyspie*, poemat. Warszawa. S. Demby. MCMI.

Gdzieś w dali od lądów, gdzie smutki i niedola, wśród niezmierzonych przestworów oceanu, grą jego fal do snu kołysana, jego mgłą przed światem ukryta, spoczywa szczęśliwa wyspa wiecznej ciszy i wiecznego święta, przez pieśniarzy zaludniona, berłu wieszczów podległa, kraina poezyi i sztuki. Tam „starym zwyczajem według księgi prawa, kto najpotężniej dusze rozkołysze, kto serc najwięcej zyska twórczą władzą, tego na tronie królewskim osadzą.“ Wyspa miała swe chwile wielkości. Było to wówczas, kiedy rozkazywał jej mocarz potężny, prorok, co „błagał u Boga dusz rządu i chciał przemienić ruch fatalnej szali.“ Niegdyś z wnętrza wyspy, z jej wulkanów niebotycznych, tryskały w górę płomienie, które, jak ognisty słup Mojżesza, przyświecały dalekim lądom. Lecz czasy te bezpowrotnie minęły. Wygasły ognie. Dziś wyspa otuliła się w płaszcz zimnej obojętności na wszystko, w czem czuć żywe tętno życia, na wszystko, co nie jest karlą radością i rozkoszą. I nazywało się to sztuką dla sztuki. Dziś na turnieju pieśniarskim temu włożą na czoło królewski wieniec, kto najpiękniejsze wyśpiewa trele „o każdym wdzięku swej nowej kochanki.“ Przez jedno mgnienie zdawało się, iż przezwyciężą wyższe uczucia i pieśń szlachetniejsza. Zdawało się, iż sercami ciżby zawładnie Dajmon, który wspanialsze jej ukazał obrazy i dalsze widoki odsłonił, który potężniejsze ze swej lutni wydobył dźwięki i głębsze nurty duszy poruszył. Złudzenie to było. Pocóż Dajmon wskazuje zapomniane krainy, gdzie w śmiertelnej walce zmagają się z sobą krzywda i prawo, kędy wyją burze i huczą orkany? I oto w serca samolubstwem skażone zaczyna wkradać się zimny lęk, iż spokojnemu trwaniu na wyspie już kres zgotowany; że małe szczęście i słodkie wzruszenia w mgłę się roztopią wobec myśli wielkich i namiętności głębokich. A więc precz, precz z nim.... Wokół Dajmona skupili się jednak ci, których tęsknoty odgadł i wyśpiewał; z ramion matek wydzierały się pacholęta i wspinały się za wieszczem na górę ideału. Wreszcie drużyna niespokojnych duchów, zbudowawszy lotny statek, podążyła tam, gdzie ludzkość cierpi i o lepsze jutro walczy. Napróżno wyspiarze wraz ze swym królem-minstrelem na czele pragną powstrzymać szaleńców. W niebezpiecznej podróży niejedno śmiałkom grozi niebezpieczeństwo, ale z drogi swej już się nie cofną. Nic będą mieć nad ich zmysłami władzy zwodnicze i namiętne rusałek głosy, nie zastraszy ich wściekłość wyłonionych przez odmęty piekielne tworów. Próżno w nich godzą pioruny, próżno miotają się na statek demony samolubstwa i zaciekłości: niestrzaskają wątłej na pozór łupiny. Na fale rzucili ją mistrze, „co w duszy mają doskonalsze miary, niźli gruntwaga i cal w ręku cieśli“. „Wgłębiony w środku nakształt wielkiej czary, zgrabny i mocny budynek szkieletu, zbity misternie, jak forma sonetu.... Przód ścięty ostro, jak w wierszu rym męski; po bokach, w przerwach jednej mety sterczały równe, niby strofki, wiosła. Postawa masztów prosta i wyniosła strzelała w niebo, jak myśli poety. Po masztach wężem zwieszały się liny, a każda lina, jak zwrotka tercyny, była spleciona potrójnem węzidłem. Żagle w spokojnym, miarowym rozwiewie, jak śpiewne rytmy, kołysząc swym skrzydłem, bujały barkę—pieśń, zaklętą w drzewie. Jak tytuł pieśni, na maszcie u góry igrała w słońcu bandera z purpury“.

Mocna budowa statku. Lecz jeśli zuchwali żeglarze nie stracili serca, mimo że padł ich wódz, śmiertelnie rażony, mimo że rozszalałą burzą miotany pomost spod nóg im umyka, że rwą się żagle i liny, to dlatego, że na wierzchołku masztu czerwienią „tryumfalną, dumną“ z mgły zawsze bandera wykwita, „jakby wiedziała, że nie ponad trumną, ale kolebką życia się rozwiewa“. I my wierzymy niezłomnie, że okręt p. D. płynie w przyszłość, że dosięgnie lądów, gdzie ludzkość w drgawkach bólu się wije; wierzymy, że z bólu tego narodzi się ludzkość nowa i młoda, która nie zostawi po sobie tak ohydnego dziedzictwa, jak wiek dziewiętnasty dwudziestemu; dla której znamieniem równowagi i wyższości moralnej nie będzie obojętne przyglądanie się faktowi, bo może i fakt ów istnieć przestanie.... Dziś atoli istnieje. Tysiączne oznaki, czy to w sferze szerszej, czy to w ciaśniejszym, otaczającym nas światku, nie pozwalają zapominać nam ani na chwilę, iż obecnie najszersze kręgi zataczają zbrodnicze i samolubne popędy natury ludzkiej: obniżenie ideałów i dążeń jest znamieniem naszej doby, a jej atmosferą — oportunistyczne przyzwolenie na dokonywany gwałt. Ale nieustaje w pracy i zgodnie wiosłami uderza drużyna Dajmona, wiehr przyszłości jej żagle nadyma.... Cały poemat p. D. jest pełnym zapału protestem przeciw zasklepieniu się w ciasnem kole myśli i uczuć, jest objawem tęsknoty ku atmosferze z czystszych, niż nasza, pierwiastków złożonej. Przeprawa zaś gromadki żeglarzy przez wodne otchłanie jest, według mego zdania, najpiękniejszą tego poematu częścią. Nie jesteśmy zbyt zepsuci obfitością dzieł o szerszym zakroju, a owioniętych tchem twórczym. Przeciwnie, jesteśmy ich bardzo spragnieni.. I oto dlaczego dzieło młodego autora na turnieju pieśniarskim zostało wyróżnione. Nie może on mieć żalu, iż pogardzono dźwiękami męskiej lutni, jak to było na jego „wyspie“. W szczerości uczucia, w rozmachu, w prostocie środków poetyckich spoczywa cały urok jego utworu, i w tem tkwi zapowiedź dzieł wyższych i doskonalszych, i jako taką zapowiedź witamy ją gorąco. W tem ogólnym wrażeniu maleją tu i owdzie widniejące braki wykonania i pomysłu.

Maleją, lecz nie znikają zupełnie. Dykcya np. nie zawsze jest dość zręczna. „W wieszczych przeczuciach, *co na wyspie będzie*, tak się król męczył i szarpał w rozterce....“ Pomijając niezbyt udatną tautologię ostatniego wiersza, myśl, że król pieśniarzy przeczuwał smutną przyszłość („co na wyspie będzie“) nie jest wyrażona dość przejrzyście. Nieraz zdarza się nam spotykać w poemacie takie zwroty, jak: „a jeśli to twych celów nie dosięże“, „ramiona od żarów *aż* smagłe“ i t. d. Wszystko to są jednak drobnostki, i nie chcemy im zbytniej wagi przypisywać. Niebezpieczniejszą miał poeta rafę do wyminięcia, lecz uniknąć jej całkowicie nie zdołał. Powróćmy raz jeszcze do Dajmona, który, przez ciżbę odepchnięty, wdziera się, wiernymi otoczony uczniami, na grzbiet góry *ideału*, by stamtąd objąć w jednym spojrzeniu rodzimą krainę, morze i daleki ląd, na którym jeden zwłaszcza widok wydał mu się najboleśniejszym.... W proroczym śnie dawniej jeszcze ukazywały mu się różne symboliczne postaci, ciemne (Mór, Nędza, Głód) i świetliste (Nadzieja, Miłość, Fantazya i t. p.). Wyspę (*sztukę*) od lądów przedziela morze *życia*. Co do tego ostatniego zaszło, zdaje się, pewne nieporozumienie, bo jeżeli Dajmon prowadzi swą drużynę śpiewaczą na *lądy*, pragnąc nawiązać zerwany węzły między sztuką a *życiem* i przekroczyć dzielącą je przepaść, to już przepaść owa, przestwór morski, nie może rzeczywistości symbolizować, lecz wyobraża chyba obojętność czy to na sprawy własnego społeczeństwa, czy też na nędzę dzisiejszą całej ludzkości. A zresztą, czy istotnie należy dążyć do tego, by każdy konkretny szczegół pomysłu stawał się dokładnie oznaczoną alegoryą? Czy ocean nie mógłby pozostać wprost wodną otchłanią bez bliższego określenia? Zdaje mi się, że poeta nie zawsze się ustrzegł pokusy alegoryzowania, i dlatego nadał sztywność niejaką pięknym skądinąd ustępom. Czar poezyi przecież nie zależy od ścisłego, logicznego rozwinięcia jakiejś idei, nie jest skutkiem *tłómaczenia* obrazu na mowę myśli; przeciwnie, czar ten ukrywa się w nieskrępowanym locie twórczej fantazyi, w swobodnem kojarzeniu się obrazów, w organicznym przenikaniu się wzajemnem ożywionej przyrody i pierwiastków ideowych. Taka swobodna gra różnorodnych żywiołów u młodego poety nie zawsze jest widoczna. I w pomyśle również przewodnia myśl jego—konieczność przesiąkania sztuki w życiu i odwrotnie—ujawnia się zbyt dobitnie, dydaktycznie niemal. Stąd doznajemy niekiedy wrażenia, jakby pomysł ów nie był dość obszerny i głęboki, jakoby nie wypełniał sobą utworu; że starczyłoby go raczej na wiązankę sonetów, niż na cały poemat. Autor zanadto pamiętał o alegoryzowaniu; lecz zarazem—niech mi będzie wybaczony ten paradoks—lecz jednocześnie zamało. Zdaje mi się, że w pomyśle istnieje, niewidoczny może na pierwszy rzut oka, rozłam. Zapewne, Dajmon zakłócający swym wołaniem pogodę duchową zgnuśniałych wyspiarzy, Dajmon na czele drużyny swej wspinający się na szczyt góry ideału, lub sterujący swym statkiem ku upatrzonemu celowi, zarówno jest opanowany myślą o rzuceniu idealnego mostu między wyspą a lądem. Z tego punktu widzenia w idei naczelnej utworu panuje jedność wewnętrzna. Autor wszelako zbyt wielki położył nacisk na jedną z form swej myśli, na spór o piękno między zwolennikami sztuki „czystej“ a ogólnoludzkiej. Gdyby ta postać idei była już całą ideą, pomysł nie miałby w sobie dość siły żywotnej, a myśl dydaktyczno-polemiczna byłaby zbyt ubogą, by ją rozwijać w poemacie. Oto gromy, które ciska na głowę Dajmona król wyspiarzy,

ten, co najcudowniejsze „wyśpiewał trele o każdym wdzięku swej nowej kochanki“. Tyś „już tajemnicę akordów stracił. W tej samej godzinie, w którejś zapragnął jakąś *służebnicę* z pieśni uczynić, rzuciła twe wnętrze; bo pieśń *wcieleniem duszy* jest jedynie“. Mamy tedy przed sobą przedstawiciela t. zw. modernistów. Nie możemy wyrazić zgody ani na metafizyczne podstawy ich teoryi, ani na ich dążenia praktyczne. Głosząc bezwzględną swobodę sztuki, oni to właśnie po sekciarsku pragną jej zakres ścieśnić...

Mimo to jednak, iż występują najczęściej w sposób napastniczy, przez ramię spoglądając na „społeczników“, do których i p. D. należy—mimo to im by właśnie przypadła na turnieju rola spiskowców i rokoszan, bo nie oni są wyspy panami. A mieliby słuszność w swym rokoszu, gdyż posiadają przecież prawo do swobody oddechu twórczego. I nadto, jakiem prawem ów poeta od *treli* zapuszcza się w gawędę o wolności sztuki od służebnictwa, jakiem prawem ośmiela się powoływać na zasadę, iż pieśń winna być tylko wcieleniem *duszy?* Co on o tym wszystkiem wiedzieć może? Czyż „modernizm“ naprawdę streszcza się w trelach miłosnych? Czy może powróciliśmy do okresu śpiewaków „róży, makolągwy i giła“, do okresu Musseeistów i Heinistow? Tak źle chyba nie jest. Zresztą, nie o polemikę nam tu głównie chodzi, lecz o to, że spór poetycki zanadto rozwielmożnił się w poemacie. Mamy wciąż spojrzenie zwrócone na to, że statek, na którym powiewa znak purpurowy, w zapasach swych z falami oceanu już nie czułych poetów wyspy widzi przed sobą, jako przeciwników. *Inne* wiry i *inne* niebezpieczeństwa mu grożą. W tym właśnie upatrujemy pewne rozdwojenie myśli przewodniej, a spójność jej pragnęlibyśmy osiągnąć przez przeniesienie punktu ciężkości utworu na boje z potworami morskimi.... Dalej więc, śmiało! Niech pozioma trwoga nie wyzięhi wam serc, zdobywcy młodzi, niech nie obezwładnia rąk waszych, co krzepko ujęły ster i wiosła! I niech „póty żaden z was nie złoży broni, aż dzień idący ze mgły się wyłoni“!

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

CZASOPISMA. *Chimera*, zeszyt I. Styczeń, 1901, str. 184, pod redakcyą Zenona Przesmyckiego, zawiera utwory: Miriama, J. Zeyera, J. Kasprowicza, C. Norwida, E. Porębowicza, S. Przybyszewskiego, J. Lemańskiego, J. Rufferta, L. Staffa, K. Zawistowskiej, H. Zbierzchowskiego, Villiers de l'Isle Adama. Pismo to, poświęcone wyłącznie literaturze i sztuce, kierunkiem i układem swym przypominające „Mercure de France,“ odznacza się niezwykłą w naszych stosunkach wydawniczych starannością redakcyi i wykwintną szatą zewnętrzną. Treść, umiejętnie dostrojona do wysokich wymagań estetycznych, jednolitość zasad ogólnych, przeświecająca w każdym szczególe, troska o wynalezienie poprzedników i duchów pokrewnych nietylko w literaturach obcych, lecz i wśród naszych pisarzy, język wreszcie staranny i piękny, pozwala spodziewać się, że z nowem pismem przybywa naszemu piśmiennictwu placówka poważnej i rzetelnej pracy. Zaznaczyć wypada, że w zesz I nie dostrzegliśmy wcale błędów drukarskich.

— *Revue de morale sociale*, nr. 8, Décembre. 1900. (P. Kergomard: L'education integrale des jeunes filles; R. Rambaud: Olive Schreiner et le feminisme. R. de la Grasserie: Du role moral de la dot. R. Cerilli: La femme electrice. Antler: Les idees marchent. M. Buhr: Revolutionnaires. Savioz: Le feminisme a l'exposition universelle. Chronique. Bibliographie).

POWIEŚĆ. Orwicz Jerzy: „Okruchy życia,“ nowele, str. 172, nakł. S. Mieczyńskiego.

POEZYE

Tatry w zimie.

POWRÓT.

Muszą być w waszem wnętrzu magnesu pokłady,
Śnieżne wirchy tatrzańskie, drzemiące w zadumie...
Stojąc w oknie wagonu, łkanie w piersiach tłumię,
Kiedy do was dojeżdżam wzburzony i blady...

Przed oczami zimowa baśń Szeherezady,
Olbrzymiego Giewontu widać białą mumię,
Śpiącą w morzu błękitnem przy wichrów poszumie,
Wystawioną na śnieżne zawieje i grady...

Znowu zjawiłyście się w śnieżnym majestacie
Zachwyconym mym oczom... Znowu serce moje
Radują wasze drogie, znajome postacie...

Znowu z oczu mych tęsknych wytrysły łez zdroje
Jak tułaczowi, który jamami krwawemi
Ujrzał senny krajobraz rodzinnej swej ziemi...

GWIAZDY SPADAJĄCE.

Wsłuchany w szum spienionego, wartkiego potoku,
Patrzę na wirchów ciemne, zadumane czoła...
Straszna mumia Giewontu, tragiczny trup woła
O spoczynek, o zmianę przeznaczeń wyroku...

Naprożno! Tylko gwiaździste milczenie dokoła,
Dzikie Tatry opływa ciemna otchłań mroku...
Z głuchym szumem się pieni wciąż fala potoku,
Gdyby jakaś melodya śmiertelnie wesoła...

Błysk! I ciemne, gwiaździste, bezdenne otchłanie
Przeszyła wskroś piorunem jasna, złota smuga
I przepadła w tajemnym mroków oceanie...

Za nią strzałą złocistą w Giewontu pierś druga
Godzi i trzecia... Złote meteory
Deszczem gwiezdnym zraszają Tatr ciemne upiory...

SEN GIEWONTU.

Cisza nocy gwiaździstej spłynęła na Tatry,
Białe wirchy i regle spowił sen zimowy,
Księżyc-upiór, jak wizya krwią zbroczonej głowy,
Płonął światłem czerwonem, jak płomienie watry...

W gęstym mroku tonęły przepastne parowy...
Czarne smreki, ogromne piramidy — szatry,
Zlekka tylko się chwiały pod chłodnymi wiatry,
Które trzymał na smyczy Gazda Orkanowy...

Kołysany melodyą słońc dalekich cichą,
Pod gwiazdami złotemi śni Giewont olbrzymi
O grodach gigantycznych, lśniących purpur pychą,

Gdzie z kamiennych ołtarzy czerwona krew dymi,
Na objatę przelana straszliwemu bogu,
Który wsparł krwawe stopy na wieczności progu.

Wacław Wolski.

Zakopane.

SPRAWY EKONOMICZNE

NOWA ORGANIZACYA.

Czasy się zmieniają! Dawniej szlachta o tej porze urządzała szalone kuligi, raczyła się pełnymi pucharami, zapominając o troskach i jutrze. Dziś, podczas karnawału, zjeżdża się ona do Warszawy na narady w ważnych sprawach organizacyi wspólnej pracy ekonomicznej. Na posiedzeniu warszawskiego Towarzystwa rolniczego poruszono kilka bardzo doniosłych spraw. Wysunęła się na pierwszy plan jedna, już nie w zarysie projektu, lecz jako wszechstronnie rozważona i opracowana przez grono ludzi forma nowej organizacyi ekonomicznej, która, w czyn wprowadzona i umiejętnie pokierowana, może znacznie wzmocnić podstawy bytu nietylko właścicieli większych i średnich, lecz całej masy ludności (a więc i włościańskiej), pracującej na roli.

Delegacya handlowa sekcyi rolnej opracowała ustawę Związku hodowlanego, który powstanie jako sekcya Towarzystwa rolniczego warszawskiego i będzie miał na celu popieranie racyonalnej hodowli bydła rogatego. Doniosłość takiej organizacyi zrozumie każdy, kto zna choć trochę stan tej gałęzi gospodarki w kraju naszym. Nawet większe wzorowe posiadłości nie mogą się poszczycić jakimś systemem jednolitym, wypróbowanym i racyonalnie prowadzonym. Wszędzie w oborach naszych panuje największy chaos. Można znaleźć najróżnorodniejsze rasy obce, niezdolne do należytego zaaklimatyzowania się w naszych warunkach, a więc ulegające szybkiemu zwyrodnieniu W ten sposób hodowla nieumiejętna, prowadzona najczęściej naoślep, pochłonęła znaczne sumy i nie przyniosła dodatnich wyników. Co więcej — w oborach nawet pierwszorzędnych rozwielmożniła się gruźlica, dlatego właśnie, że bydło nieumiejętnie dobierane i nietrafnie zaaklimatyzowywane, traci siły i poddaje się zabójczej chorobie, która grozi masom ludności wielkiem niebezpieczeństwem. Słynne u nas lekceważenie środków hygienicznych jeszcze bardziej potęguje to niebezpieczeństwo.

Naprawa tedy hodowli, skierowanie jej na tory właściwe, ma doniosłe znaczenie nietylko w interesie gospodarzy pojedynczych albo grup, ale także w interesie całej ludności kraju Podniesienie i naprawa hodowli bydła może przedewszystkiem usunąć, a przynajmniej osłabić tak groźną chorobę, może wpłynąć na rozwój przemysłu mleczarskiego i tym sposobem dać licznym rzeszom dobry, tani i zdrowy produkt spożywczy. Co do samego rolnictwa, owa gałąź gospodarki może być potężną dźwignią w jego rozwoju. Za granicą, gdzie już ziemia sama przez się nie opłaca się wcale, dział hodowlany postawiono na pierwszym planie i podniesiono go do wysokiego poziomu. Nawet w prowincyach nadbałtyckich, gdzie warunki w tej mierze są znacznie gorsze, niż u nas, hodowla stoi o wiele wyżej, aniżeli w Królestwie i to dzięki tylko temu, że rozwinięto tam pracę zrzeszoną. Właśnie na takich podstawach ma być zorganizowana działalność u nas. Związek hodowlany będzie miał na celu przedewszystkiem: wybór najlepszych sztuk do rozpłodu, zapisywanie ich do specyalnych ksiąg stadnych i ścisłą kontrolę nad hodowlą i sprzedażą, tudzież ułatwianie w tej mierze stosunków handlowych; urządzanie wystaw i targowisk peryodycznych; udzielanie w miarę możności nagród; krzewienie wiadomości z dziedziny hodowli za pomocą zebrań, pogadanek itd. Wszyscy członkowie związku poddają obory swe kontroli tudzież rygorom przez wydział uchwalonym. Obory dzielą się na trzy kategorye: I) Zarodowe, szlachetne i za takie uznane; II) poprawne, uszlachetnione, z wybitnym typem; III) obory bezrasowe lub mieszane.

Ustawa pod niektórymi względami jest bardzo surową i to w tych razach, gdy chodzi o dobro ogólne. Tak np. w razie wybuchu epidemii właściciel obowiązany jest w ciągu trzech dni od chwili jej stwierdzenia zawiadomić wydział oraz ściśle wykonać środki, wskazane przez komisyę. Wykroczenie przeciwko któremukol-

wick z przepisów lub dostarczenie danych, niezgodnych z rzeczywistością, pociąga za sobą karę pieniężną, a w razach wyjątkowo ważnych — wykreślenie z ksiąg stad, lub nawet wykluczenie ze Związku.

Fundusze Związku składają się z opłat członków (5 rb. jednorazowo oraz 3 rb. rocznie jako składka członkowska), z opłat obór wszystkich trzech kategoryj, z opłat za pośrednictwo przy sprzedaży itd. Sumy te obracane będą na pokrycie wydatków bieżących, pensye urzędników, nagrody dla hodowców itd. Przewyżki dochodów nad rozchodami w miarę możności obracane będą na zniżenie opłat rocznych.

Przytoczyliśmy tych kilka najważniejszych artykułów ustawy, ażeby wykazać całą doniosłość zadania Związku i racyonalne jego podstawy. Program jest dość szeroki. Związek ma nietylko czuwać nad polepszeniem ras i nad stanem zdrowotnym obór, lecz także będzie pośrednikiem w sprzedaży. To nam każe przypuszczać, że z czasem organizacya nowa rozwinie się znacznie także w kierunku handlowym, a więc może zajmie się zwalczaniem fałszowania produktów mlecznych i usunięciem spekulacyi w handlu, co będzie nietylko korzystne dla hodowców i wytwórców, lecz także dla ogółu spożywców. W dalszym ciągu należałoby się spodziewać od Związku współdziałania (wraz ze spółkami hodowlanemi) około rozwoju hodowli bydła rzeźnego i zorganizowania handlu, który dziś zmonopolizowała gromada spekulantów, działających nietylko w całem Królestwie, lecz i w guberniach stepowych, miejscach produkcyi bydła rzeźnego. Oni to stwarzają sztuczne „konjunktury“ i panują wszechwładnie na rynkach, z wielką krzywdą szerokich mas spożywców. Związek hodowlany powinien ująć ster tej całej sprawy i być niejako łącznikiem między pojedynczemi grupami hodowców.

Następnie przypuszczamy, że Związek, w miarę rozwoju swej działalności uwzględni także obory włościańskie, które wybornie dałyby się wciągnąć do trzeciej kategoryi. Naturalnie opłaty należałoby zniżyć, gdyż dla włościan są one stosunkowo za wysokie. Tutaj jeszcze się nadarza bardzo wdzięczne pole działalności: dopomaganie do tworzenia spółek mleczarskich i hodowlanych włościańskich, na wzór istniejących tu i owdzie w Cesarstwie. Związek, jeżeli zechce rozwinąć działalność w tym zakresie, powinien przedewszystkiem, na podstawie 2-go artykułu swych przepisów („krzewienie wiadomości z dziedziny hodowli“) zająć się wydawnictwem broszur popularnych o hodowli, rasach krajowych i obcych, sposobach żywienia bydła, o hygienie obór, o podstawach, na jakich mogą być zawiązywane spółki hodowlane i mleczarskie, o czystości w produkcyi mlecznej itd. Urządzanie wystaw i targowisk, wskazane w art. 2-gim, również i dla gospodarstw włościańskich może mieć doniosłe znaczenie, a zachętą w tej mierze będą nagrody.

Wogóle nowa organizacya będzie miała bardzo szerokie pole działalności i życzyć należy, ażeby doszła ona do takich wyników, jakie zdołano osiągnąć za granicą. Mleczarstwo u nas rozwija się coraz bardziej, posiadamy już kilka spółek; pomimo to wszakże technika ani u nas, ani w guberniach ościennych, nie doszła jeszcze do tej doskonałości, co na Zachodzie. Wymownym dowodem jest fakt następujący: Kiedy pewna grupa wytwórców masła, chcąc zawiązać stosunki z rynkiem londyńskim, wysłała tam najlepsze próbki swego produktu, sprzedawanego u nas po 60 k. za funt, odpowiedziano im, że masło to może być zaliczone do gatunku drugorzędnego, po 30 k. za funt i zdatne jest tylko do kuchni restauracyjnych.

Warto, ażeby nasz Związek hodowlany (który zapewne już wkrótce powołany będzie do życia) zechciał zwrócić uwagę na gospodarkę fermerów duńskich. Dążą oni nieustannie do wyhodowania dobrego typu krowy mlecznej, tudzież do wytworzenia ras mięsnych. Dzięki temu wywóz masła stale wzrasta. Skutkiem starannego doboru, pielęgnowania i żywienia, mleczność krów bajecznie rośnie, a masło doszło do takiej doskonałości, że utrzymało się na rynkach angielskich. Do takich pomyślnych wyników znacznie się przyczyniło powstanie stowarzyszeń mleczarskich. Fermer, dostarczający mleko stowarzyszonym mleczarniom, bierze udział w zyskach, w stosunku do ilości produktu dostarczonego. Mleko odtłuszczone wraca do niego.

Pierwsza mleczarnia spółkowa powstała 1887 r., a w ciągu lat 13 liczba ich doszła do 1,200. W r. 1886 fermerzy zawiązali spółkę celem zakupu stadników. Rząd duński, rozumiejąc całą doniosłość tej gospodarki, wyznacza co rok nagrody stowarzyszeniom, które mają wyborowego stadnika. Dzięki temu dziś już istnieje około 600 spółek do zakupu stadników. Istnieją jeszcze inne stowarzyszenia, mające na celu badanie porównawcze nad każdą krową, należącą do stowarzyszonych. Tą tylko drogą daje się określić ściśle jej wartość istotna pod względem mleczności. Jak dalece są te badania sumienne i gruntowne, świadczy system ich prowadzenia. Kontroli podlega ilość paszy, spożywanej przez krowę, nadto prowadzony jest szczegółowy spis wydzielonego mleka i procent tłuszczu. Spółki, liczące od 10 do 30 fermerów, mają specyalistę uzdolnionego, którego obowiązkiem jest objazd ferm i prowadzenie szczegółowej kontroli. Znamienną cechą gospodarki Duńczyka jest idealna czystość w mleczarstwie, o jakiej u nas nikt nie ma wyobrażenia. Są specyalne urządzenia do pojenia, osobne dla każdej krowy. Wnętrze obór lepiej wygląda, niż u nas chałupa chłopska, a ich czystość może współzawodniczyć o lepsze z czystością izby czeladnej. Warto, ażeby Związek hodowlany wysłał swego przedstawiciela do Danii dla zbadania i przyswojenia metod i zwyczajów duńskich w gospodarce.

Zen. Piet.

NA MARGINESIE.

Encyklika papieska. Pod datą 18 stycznia ogłoszona, oddawna już jednak zapowiadana encyklika przypomina na wstępie, że encykliki z 28 grudnia 1878 r. i z 15 maja 1891 r. przyniosły bogate owoce zarówno w zakresie załagodzenia stron zwaśnionych, jak w dziedzinie środków praktycznych, polepszenie doli wydziedziczonych mających na względzie. „W taki sposób pod przewodnictwem kościoła katolicy zespolili swoje zabiegi na polu opieki nad masami tak często nękanemi przez nędzę i niebezpieczeństwo.“ Ruch ten otrzymał przeróżne nazwy: początkowo obwołany, jako socyalizm chrześciański, następnie przezwany został demokracyą chrześciańską, ale i ta ostatnia nazwa nasuwa wątpliwości. Albowiem nic ma ruch ten nic wspólnego z demokracyą społeczną. I byłoby to fałszem wierutnym, gdybyśmy zadania demokracyi chrześciańskiej tłomaczyć chcieli w sensie politycznym, albowiem jest ona najzupełniej wolna od wszelkiej polityki i dąży tylko do zdobycia miłosiernego, chrześciańskiego wpływu na lud. Demokracya chrześciańska nie znajduje się w sprzeczności ani z wyższemi klasami posiadającemi, ani tem mniej dąży do obalenia prawomocnej władzy. Pragnie tylko, aby „stan warstw, które utrzymanie swoje pracą rąk własnych zdobywać muszą, stawał się bardziej znośnym, tak aby z czasem sami o sobie myśleć mogli i z czasem potrafili z własnej woli wypełniać życie w rodzinie i społeczeństwie dziełami cnoty i religii. Bowiem kwestya społeczna posiada nietylko znaczenie gospodarcze, ale przedewszystkiem moralne i religijne. Encyklika zatem podnosi znaczenie dobroczynności, jałmużny, która bynajmniej nie obraża miłości własnej, a co więcej spaja w sensie Ewangelii związek społeczeństwa ludzkiego. Aliści należy lud wspomagać nie za pomocą środków przypadkowych, lecz za pomocą urządzeń stałych, oraz nakłaniać robotników do oszczędności i przezorności, tak iżby w starości przynajmniej w pewnej części mogli żyć z własnych środków. Jakkolwiekbądź ruch ten nazwiemy, chodzi o to tylko, aby on spoczywał na jedności katolików i coraz bardziej się rozwijał. Tutaj zaś potrzebnem jest współdziałanie klas zamożnych i wykształconych. Również celową i pożyteczną jest praca duchowieństwa nad ludem. Wszędzie należy unikać polemiki i sporów, a autorytet biskupów uznać w dawnej i nieuszczuplonej powadze. Wszystkie te środki razem wzięte mogłyby przeciwdziałać duchowi rewolucyi i przewrotu, a z drugiej strony mogłyby nakłonić do uznawania praw bliźniego, do poszanowania zwierzchników i do wykonywania praktycznego chrześciaństwa. W ten sposób znów zapanuje powszechnie pokój społeczny.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Nowy sposób ściągania podatków stałych za pośrednictwem inspektorów podatkowych, nie zaś policyi, okazał się w praktyce świetnym.[1] Podatki wpływają regularniej i szybciej, a gminy włościańskie łatwo uzyskują ulgi. Dodatnie skutki tej reformy stwierdziła ukończona niedawno rewizya. (*Nowości*).

— Zebrania studenckie w Cambridge i Oxfordzie poddały ostrej krytyce postępowanie Cecila Rodesa. Oskarżono go o cały szereg występków i obrońcy na jego korzyść mogli powiedzieć tylko, że „działał w dobrej wierze, przejęty miłością dla kultury anglo saskiej, którą chciał ugruntować w Afryce.“ Głosowanie w tym przedmiocie wydało w Cambridge wyrok potępiający na Rodesa, a w Oxfordzie większością tylko *trzech* głosów uratowało go od nagany.

— Z powodu ostatniego wielkiego pożaru w Baku zwrócono powszechną uwagę na rozpaczliwy stan mieszkań robotniczych w zakładach naftowych. Z polecenia ministeryum rolnictwa zwiedzał je w r. 1897 lejb-medyk Bertenson i nie znalazł „ani jednego mieszkania, któreby czyniło zadość najskromniejszym nawet wymaganiom. W jesieni 1899 r. taką samą podróż inspekcyjną odbył minister rolnictwa p. Jermołow i potwierdził w sprawozdaniu swojem poglądy delegata. W czasie ostatniego pożaru głównie wskutek wadliwego zabudowania okręgu naftowego zginęło w płomieniach 500 osób. Na domiar złego w większej części kopalń, należących do Persów i Ormian, niema wcale straży ogniowych.

— W Paryżu istnieje obecnie już 15 t. zw. uniwersytetów ludowych, we Francyi, po za Paryżem — 30. Najstarszy, działający nie dłużej nad dwa lata, powstanie swe zawdzięcza byłemu robotnikowi, G. Deherma. Nazywa się *Cooperation des Idées*.

— W belgijskiej Izbie deputowanych toczą się namiętne debaty nad zniesieniem domów gry w Spa i Ostendzie. Znaczna większość domaga się zupełnego zamknięcia — rząd nie może się na ten krok zdecydować ze względu na znaczne dochody, pobierane z tego mętnego źródła przez zarządy miast i prowincyj. I tak prowincya Wschodnia Flandrya zyskuje na tych instytucyach 100 tysięcy fr. rocznie, miasto Ostenda *półtora* miliona fr. rocznie, przyczem płaci od siebie sąsiedniej miejscowości

kąpielowej, Blankenberghe, 50 tys. fr. rocznie tytułem odszkodowania za nieotwieranie tam domu gry. Rząd tedy chce utrzymać domy gry w niektórych miejscowościach, zamykając je tylko przed kobietami i nieletnimi i zabraniając sprzedaży alkoholu. Jednak parlament spodziewa się, że odniesie nad rządem zwycięztwo.

Sądy gminne *Warsz. Dziennik* w szeregu swoich „Zarysów projektowanej reformy sądowniczej" podaje informacyę co do reformy sądów gminnych w Królestwie Polskiem. Reforma dotyczy dwóch punktów: terminu kadencyi sędziowskiej i stopy wykształcenia kandydatów na sędziów gminnych. Co do pierwszego punktu obradująca nad tą sprawą komisya, godząc się z wnioskami starszego prezesa i prokuratora warsz. izby sądowej, zdecydowała trwanie kadencyi sędziowskiej przedłużyć do 6 lat. Termin sześcioletni służyć będzie i tym sędziom, których reforma zastanie na stanowisku. Co do stopy wykształcenia komisya uchwaliła pozostawić przepis, wymagający od sędziego ukończenia przynajmniej szkoły powiatowej lub zakładu jej odpowiedniego (progimnazyum). Uchwałę tę komisya powzięła zgodnie z opinią starszego prezesa warsz. izby sądowej, złożoną ministeryum sprawiedliwości w r. 1893. Dotychczasowy cenzus sędziego gminnego wymagał ukończenia conajmniej szkoły elementarnej lub złożenia odpowiedniego egzaminu, trzechletniej praktyki biurowej. Tak nizka stopa wykształcenia miała na celu zbliżenie instytucyi do szerokich sfer rolniczych, atoli reforma sądów gminnych z r. 1875. przewidziała możliwość podniesienia tej stopy w przyszłości. Reforma w tym względzie okazała się tem możliwsza, że poziom naukowy sędziów gminnych w Królestwie Polskiem jest faktycznie wysoki, wyższy nawet niż ten, który zaleca projekt reformy. Statystyka, podana w księdze pamiątkowej warsz. okręgu sądowego za r. 1898-my, poucza, że w roku tym w Królestwie było 374 sędziów gminnych. Z nich 244 pełniło obowiązki z wyborów, 118 było mianowanych z urzędu, 12 stanowisk wakowało. Z owych 244 sędziów 26 ukończyło uniwersytet w kraju lub za granicą, 28 ukończyło instytuty specyalne (górniczy, agronomiczny i t. p.), akademię rolniczą lub politechnikę 9, szkołę główną 6, 130 ukończyło gimnazya filologiczne i realne, 9 szkoły wojskowe, 6 progimnazya, 17 inne szkoły średnie, 5 szkoły powiatowe, 2 szkółki początkowe i 17 domowe wykształcenie.

Konkurs. Związek Naukowo-Literacki we Lwowie, dla uczczenia dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej Henryka Sienkiewicza, ogłasza następujący konkurs literacki. Konkurs obejmuje charakterystyki współczesnych polskich pisarzy i artystów. Prace poszczególne nie powinny przekraczać objętości trzech arkuszy (48 stron) druku formatu „Wiedza i Życie." Termin nadsyłania prac do 1 maja b. r. Prace przesyłać należy na ręce prof. Pawlikowskiego (Lwów, ulica Trzeciego Maja, l. 5). Mają one być zaopatrzone godłem a w dołączonej zamkniętej kopercie zawierać nazwisko i adres autora, tudzież jego oświadczenie tej treści: Oświadczam, że praca pod godłem .. dotąd drukiem ogłoszoną nie była, i że pod warunkami, konkursem oznaczonymi, oddaję ją na wyłączną własność Związku nauk-lit. we Lwowie. Nagród ustanawia się pięć: jedna na 200 koron, jedna na 100 koron, trzy po 50 koron. Prace nagrodzone, i odznaczone przechodzą na własność Związku. Nawzajem Związek zobowiązuje się ogłosić je drukiem bądź w wydawnictwie swem „Wiedza i Życie," bądź w osobnem wydaniu, najdalej w przeciągu pół roku od chwili rozstrzygnięcia konkursu, płacąc po 60 koron honoraryum od arkusza (16 stron) druku formatu „Wiedza i Życie."

Zjazdy. W Petersburgu 19 marca r. b. rozpocznie się zjazd młynarzy.

Zmarli. Julian Maszyński, artysta malarz, w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Lekarzowi. Miesięcznik *Nowiny lekars.* kosztuje rocznie 7 rb. przez księgarnię E. Wende w Warsz. (Krak. Przed. 9).

Panu W. Ryś. w Warsz. Pomysł mętny, wykonanie słabe

J. H...l. Zupełna liehota, błędy gramatyczne.

Miewol w Sosn. Myśl poczciwa, ale utwory z poezyą nie mają nic wspólnego.

Z. Szkoda czasu.

SPROSTOWANIE. W nr. 6 *Prawdy*, w art. „M. Wiszniewski," str. 81, szp 1, w. 36, powinno być: „ogłoszono tamże (1888—90) oprócz artykułu *Bohdan Zaleski i jego poezye*, dwie ciekawe prace" itd.

— Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w r. 1901. dwie nagrody pieniężne. Jedna nagroda przyznaną będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych, (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi) ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1897, 1898, 1899 i 1900; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z Ustawą Kasy Pomocy, i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rossyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

Prezes Komitetu: *W. Holewiński.*

Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Февраля 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.